PRENUMERATA: w Warszawie kwartalnie Rb. 2. Półrocznie Rb. 4. Rocznie Rb. 8. W Królestwie i Cesarstwie: Kwartalnie Rb. 2.25 Półrocznie Rb. 4.50 Rocznie Rb. 9. Zagranicą: Kwartalnie Rb. 3. Półrocznie Rb. 6. Rocznie Rb. 12. Miesięcznie: w Warszawie, Królestwie i Cesarstwie kop. 75, w Austryi: Kwartalnie 6 Kor. Półrocznie 12 Kor. Rocznie 24 Kor. Na przesyłkę „Alb. Szt." dołącza się 50 hal. Numer 50 hal. Adres: „ŚWIAT" Kraków, ulica Bonerowska № 12.
CENA OGŁOSZEŃ: Wiersz nonparelowy lub jego miejsce na 1-ej stronie przy tekście lub w tekście Rb. 1, na 1-ej stronie okładki kop. 60. Na 2-ej i 4-ej stronie okładki oraz przed tekstem kop. 30. 3-cia strona okładki i stronice poza okładką kop. 25. Za tekstem na białej stronie kop. 30 Zaślubiny i zaręczyny, Nekrologi, Nadesłane kop. 75. Marginesy: na I-ej stronie 10 rb., przy nadesłanych 8 rb., na ostatniej 7 rb., wewnątrz 6 rb. Załączniki po 10 rb. od tysiąca.

Adres Redakcyi i Administracyi: WARSZAWA, Zgoda № 1.
Telefony: Redakcyi 80-75, redaktora 68-75, Administracyi 73-22.
FILIE ADMINISTRACYI: Sienna № 2 tel. 114-30.
ŁÓDŹ, ulica Piotrkowska № 81.

Za odnoszenie do domu dopłaca się 10 kop. kwart.

ŚWIAT

Rok VIII. № 18 z dnia 3 Maja 1913 r.

Wydawcy: Akc. Tow. Wydawnicze „ŚWIAT". Redaktor: Stefan Krzywoszewski.
Warszawa, ulica Zgoda № 1, róg Chmielnej.

Redaktor odpowiedzialny na Galicyę: Antoni Chołoniewski, Kraków, Bonerowska № 12.

Miliard margrabiego Gerona.

2

Popełniamy błąd, stawiając niebezpieczeństwo niemieckie na jednym poziomie z jakiemkolwiek innem, lub, co gorsza, usuwając je na plan drugi. Jeśli ponosimy gdzieindziej dotkliwe szkody, jeśli jesteśmy wstrzymywani w rozwoju, lub nawet cofani w kulturze, pozostaje nam przecież perspektywa naprawienia tych szkód w przyszłości. Dopóki zachowujemy byt, dopóty wszystkie możliwości stoją przed nami otworem. Tu sprawa stoi zgoła inaczej. Walka toczy się o rzecz najelementarniejszą, o sam fakt naszego istnienia, o obecność lub nieobecność naszą, o to, czy jedna czwarta część naszego narodowego obszaru ma zostać krajem polskim, czy stać się niemieckim. Jedynie na zachodniem skrzydle ponosimy straty, które nigdy już odrobić się nie dadzą. Kędy pług kolonizacyi przeorał nasze niwy, gdzie rozpalone zostały ogniska tych przybyszów, zwartą ławą osiadłych, tam wionęła już śmierć, tam skurczyła się Polska nieodwrotnie, a ziemia, zdobyta przez nieprzyjaciela i wessana w ciało niemieckie, wypada na zawsze z naszych rachub. Należy zdumiewać się, że wobec bijącej oczywistości tych zjawisk znajdują się wśród nas osobliwi statyści, którzy mają dość fantazyi, by prawić nam o przecenianiu niemieckiego niebezpieczeństwa!...

Zbyt chętnie, niestety, poddajemy się suggestyi tych głosów uspakajających i usypiających. Mniemamy błędnie, że nawała bije wyłącznie o zabór pruski, że nie jest nią zagrożona reszta Polski, i w głębi duszy, znużeni nadmiarem klęsk, może nieraz skłaniamy się, by troskę o kresy zachodnie uznać za obowiązek samej tylko dzielnicy poznańskiej. Jest to najtragiczniejsza z omyłek. Sprawa Poznańskiego, Śląska, Prus królewskich, Pomorza, Warmii i Prus książęcych wiąże się nierozdzielnie z losami reszty ojczyzny, a niezmierną doniosłością swą wysuwa się wręcz na czoło zagadnień ogólnopolskich. Będąc zagadnieniem życia i śmierci ogromnych obszarów naszego władania, kryje w sobie groźne dla narodowej całości niebezpieczeństwo odcięcia nas na zawsze od ujścia Wisły i postawienia Krakowa u wrót niemczyzny, kryje groźniejsze jeszcze niebezpieczeństwo skurczenia Polski do rozmiarów, które utraciłyby sens dziejowy.

Lecz nietylko z tych przyczyn obrona przed niemieckim zalewem nie może być wyłącznie pozostawiona zachodnim naszym dzielnicom. Patrzmy, jak okrąża nas ten zalew ze wszystkich stron i jak wciska się także tam, gdzie berło pruskie nie rządzi. Wsączanie się niemieckiego żywiołu w organizm nasz odbywa się wszędzie i sięga daleko. Odkryciem było dla nas niedawno, iż Królestwo Polskie żywi pół miliona niemców, odkryciem, którego jaskrawość zbyt rychło zbladła. Pług czarnego kolonisty orze i na Mazowszu. Wielkie centra przemysłowe Królestwa — to centra niemczyzny, zorganizowanej, sytej, butnej, pełnej zdobywczego nastroju. Gdy zabór pruski padnie, ujrzy się Królestwo okrążone od północy i od zachodu olbrzymim łukiem niemieckim i wte-

dy dopiero właściwego znaczenia nabiorą niedocenione dziś forpoczty wewnętrzne. Galicyę zachodnią coraz gwałtowniej podmywa nurt germański. Na skarbach krakowskiego zagłębia spoczęła pruska dłoń, którą przyciągnęliśmy sami, nieodrodni następcy Konrada Mazowieckiego. Przez Cieszyn, atakowany całą potęgą wroga, prowadzi droga krótka i łatwa na Akropol naszych narodowych świętości, na Wawel!...

Cała Polska objęta jest uściskiem tych śmierć niosących ramion, i pod kątem widzenia polskiej całości musimy nauczyć się oceniać napór na zachodnie nasze ziemie!

Jesteśmy w błędzie, mniemając, że z naporem tym nie może walczyć cały naród, a w szczególności, iż nie możemy niczem dopomódz zaborowi pruskiemu, gdyż możemy wesprzeć go tysiącznemi środkami, pośrednio i bezpośrednio. Królestwo Polskie może wziąć znakomity udział w ocaleniu sąsiednich prześlicznych jezior pruskich, choćby tylko przez napływ turystyczny. Od udziału wszystkich dzielnic zależy utrwalenie i ubezpieczenie polskości Pomorza, które powinno stać się plażą trzech zaborów. Drogi pośrednie są wręcz niewyczerpane. Każda walka, jaką z żywiołem niemieckim stoczymy skutecznie w głębi Polski, będzie cząstką zwycięskiej obrony ogólnej i zaważy na obronie kresów. Wzmocnieniem tej obrony będzie wyparcie z naszych miast żydów, jako awangardy niemczyzny. Wzmocnieniem jej będzie każdy nasz zysk narodowy, każde pomnożenie siły, wszelki przybytek duchowy i materyalny, wszelka plonem uwieńczona praca polska na jakiemkolwiek polu. Kto choć przelotnie otarł się o warunki życia w zaborze pruskim, wie, jak dobroczynną jest dla tej dzielnicy świadomość, że za plecyma jej istnieje wielka rezerwa polszczyzny i że walka jej o byt narodowy nie jest zjawiskiem zamkniętem w sobie, lecz akordem, podporządkowanym większej całości. Silne, żywotne, kwitnące centrum polskie stałoby się dla kresów niewyczerpanem źródłem podniety, a samo, w imię wspólnego niebezpieczeństwa, znalazłoby sobie tysiące dróg oddziaływania na ich losy. Wzajemny ten kontakt moralny i taktyczny jest czynnikiem nieskończenie ważnym. Nie wysiłek bowiem jednej dzielnicy, lecz zdolność bojowa, czujność i sprawność całego narodu rozstrzygnie o wyniku naszej walki ze światem niemieckim.

W tej walce dziejowej powinnibyśmy znaleźć w północnej Słowiańszczyźnie naturalną sojuszniczkę, pamiętną na to, że niemieckie „dążenie na wschód" jest nieśmiertelne, że bój, który się tragicznie niegdyś rozegrał nad Łabą i Odrą, a który dziś wre na naszej ziemi, musiałby z upadkiem naszym posunąć się dalej i ogarnąć także Ruś, jak objął już zachodni skrawek germanizowanej Litwy. Lecz Rosya wspiera nas w sposób sobie właściwy, w sposób, żywo aklamowany w Berlinie. Musimy brzemię walki nieść sami. Czy uniesiemy je?...

. . . .

Nie są zapasy nasze z olbrzymem niemieckim beznadziejne. Może nas krzepić przykład małych Czech, który wskazuje, jakich cudów dokonywa naród, który wszystkie siły swe pręży ku obronie. Mogą nas krzepić nasze własne sukcesy, które umieliśmy odnosić w przeszłości i których także dziś nie brak w epopei naszego zachodu. Szanse narodu, który pod gęsto padającemi razami zdołał odzyskać zamarły narodowo Śląsk i który na niejednem polu osiągał renesans swój wśród niewysłowienie ciężkich warunków, szanse narodu licznego i niosącego wielkie dziedzictwo moralne, nie są tak znikome, aby nie było wolno budować na nich przyszłości.

Jednakże w powszechnej świadomości polskiej muszą dokonać się zmiany, wyzwalające nowe zasoby energii i skierowujące je na punkt najbardziej zagrożony. Innemi oczyma musi współczesność polska spojrzeć na swe zachodnie ziemie, musi zrozumieć, że tam rozgrywa się najważniejszy akt naszego dramatu, że rozstrzyga się tam sprawa nie jednej dzielnicy, lecz całego narodu, że przez zalew niemiecki zagrożona jest cała Polska i cała musi wziąć solidarny udział w obronie, że chodzi tam nie o spór graniczny, nie o zatarg, nie o okupacyę, lecz o wytępienie nas ze szczętem, wytępienie, które musiałoby posuwać się coraz głębiej, że nie jest to prąd przemijający, ale żywioł, czynny odwiecznie, i że ten żywioł może być zatrzymany jedynie przez żywioł inny, że elementarnemu naporowi musi być przeciwstawiony odpór równie elementarny. Wychowanie całego narodu powinno odbywać się pod hasłem wszczepiania mu w krew świadomości niebezpieczeństwa niemieckiego, a losy zachodniej Słowiańszczyzny, jako memento, w tem wychowaniu powinny się stać czynnikiem pierwszorzędnym.

Dziejów jej wytępienia uczmy nasze dzieci na równi z ojczystemi, aby mogły zrozumieć w całej pełni, czem był i jest wobec nas świat germański. Opowiedzmy po stokroć, że stolica Niemiec współczesnych — to wszak Warszawa zachodnio-słowiańska. Niech snuje się przez życie polskie opowieść ostrzegawcza o tem, jak konały plemiona, wśród których stanęła stopa niemiecka, jak zdrada i okrucieństwo zmiatały je z powierzchni ziemi, jak w śmiertelnych drgawkach ginęła Rugia, jak marły nad brzegami Odry dźwięki lechickiego języka i jak śmierć postępowała wciąż bliżej ku naszemu dziedzictwu, aby i jemu wreszcie zagrozić. Szeroko otwartemi oczyma każmy naszemu potomstwu wpatrywać się w grobowce polskich książąt we Wrocławiu, dokoła których zamilkł na zawsze dźwięk polskiego języka, i niech u sarkofagów tych pije wstyd, krew burzący. Niechaj nie odrywa wzroku od żywego słowiańskiego trupa, od tonącej wyspy łużyckiej, opłyniętej huczącemi falami oceanu Niemiec! Niech pomni, że zanim do nas dotarły te fale, pochłonęły całe kraje i całe narody! O tem powinien w Polsce współczesnej pisać historyk i uczyć nauczyciel, te upiorne dzieje snuć powinien i odtwarzać artysta, o tem powinny matki śpiewać pieśni nad kołyskami, aby w mózg polski od pierwszego dnia jego świadomości wrastało poczucie, iż to samo, co spełniło się na słowiańskim zachodzie, grozi z kolei nam.

Wskrzeszenie tego poczucia w całym narodzie, w postaci, w jakiej ono żyło za pierwszych Piastów, staje się dziś zasadniczym warunkiem skuteczności naszej obrony. Tylko wtedy zdołamy się oprzeć zalewowi, tylko wtedy, gdy, przy użyciu wszystkich nowoczesnych środków działania, siłę żywiołu przeciwstawimy miliardom margrabiego Gerona...

A. Chołoniewski.





Józef Brandt. Do ataku.



Stanisław Wyspiański. Szkic.

Wystawa jednobarwna w Warszawie.

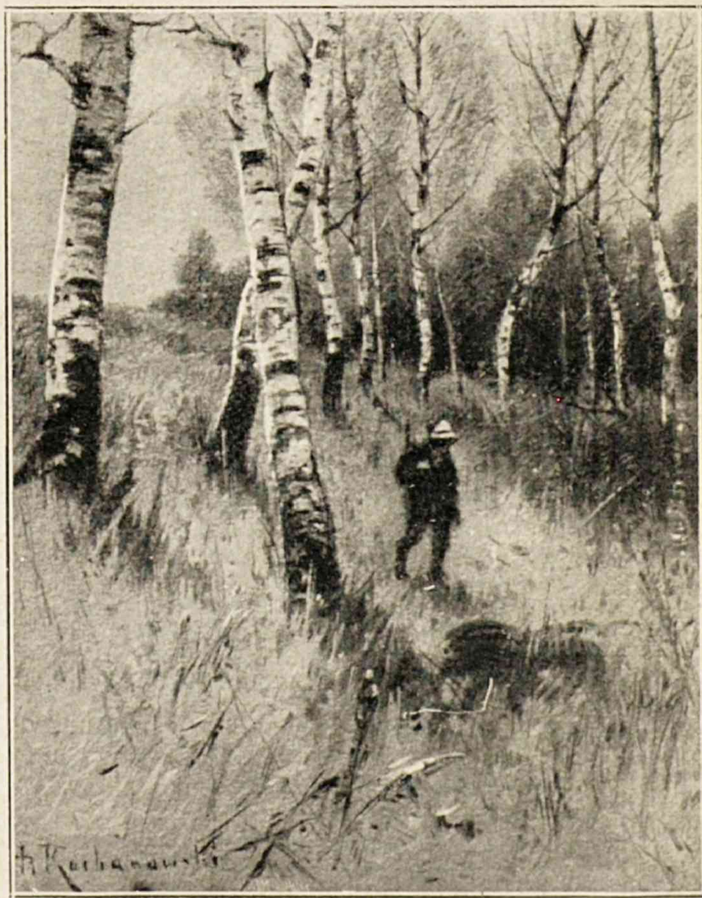
Pierwszy krok od czasu niedawnego istnienia, jaki postawiło „Koło Artystyczne“, przynosi mu naprawdę zaszczyt. Dawno nie pamięta Warszawa tak ładnej a pouczającej zarazem wystawy, jak obecna *Jednobarwna*. Zastrzeżmy się jednak zgóry, że nie jest to wystawa dla zbyt szerokich tłumów. Niema tam jaskrawości, niema efektów krzykliwych, choć czasem tanich. Zamiast tego — dyskretna, wewnętrzna i skupiona charakterystyka naszej Sztuki, zacząwszy od pierwszorzędnych, już nie żyjących mistrzów z zeszłego stulecia, a skończywszy na artystach spółczesnych. Wśród tego mnóstwo szkiców — samego Matejki przeszło 30. Więc jest to wystawa dla ludzi o wyrobionym smaku, wystawa dla znawców. Nic tak nie otwiera tajników duszy artysty, zwłaszcza takiego, który już skończył swą karyerę, jak teka jego szkiców, pierwszych rzutów, albo idei, rodzących się dopiero do szerokich kompozycyi. Jest w tem bezpośredniość natchnienia. Artysta jest wtenczas sam tylko ze sobą, nie myśli o kaprysach szan. publiczności, o szkołach lub kierunkach, które się podobają, bo są modne, a już najmniej o rzeczy tak bardzo wstrętnej, jak krytyka, wlokąca się, jak szary, chudy, połamany cień, za swą ofiarą. Ach! ileż pięknych myśli, ileż dobrych a śmiałych idei popsutych zostało w drodze pomiędzy pierwszym szkicem a wielkiem płótnem, mającem się znaleźć na widoku publicznym!



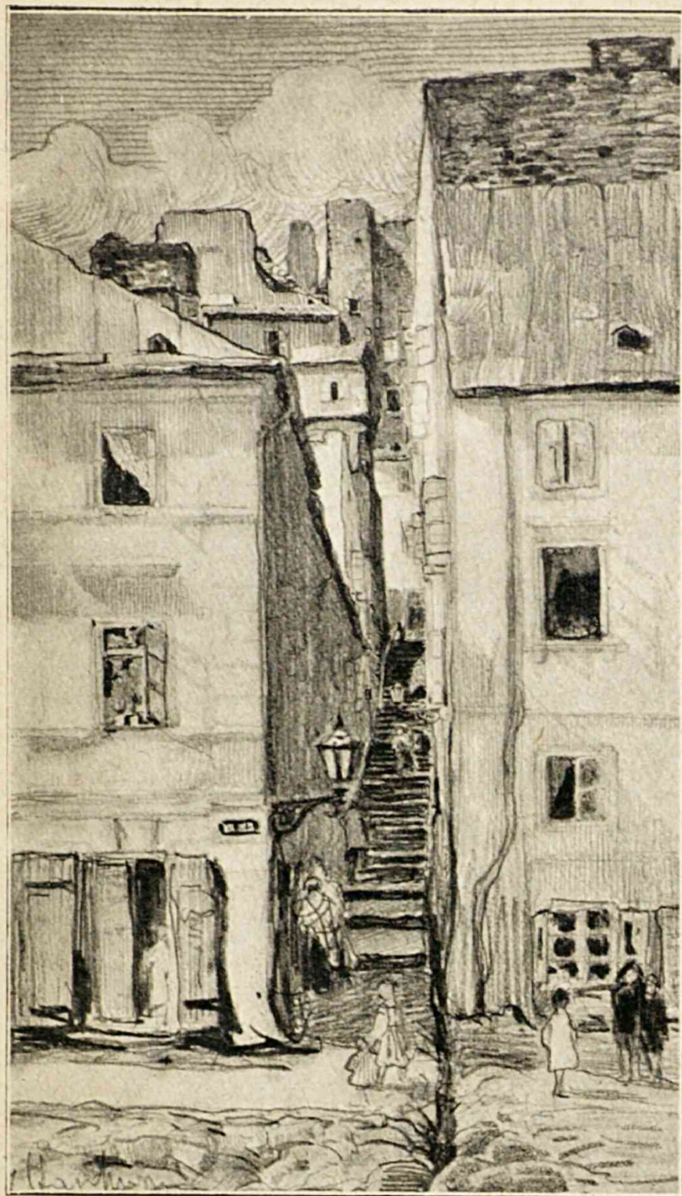
A. Gawiński. Baba Jaga.

Aby wszystkie te piękności zobaczyć, tajniki duszy odnaleźć, proces tworzenia odczuć i zrozumieć, należy głębiej wpatrzeć się w Wystawę Jednobarwną, trzeba dzieje tej sztuki i ludzi, którzy się na nią składali, choć trochę znać, coś o nich wiedzieć, słowem, trzeba mieć w sobie nietylko kult, ale i kulturę Sztuki. Trudno np. o lepsze i dosadniejsze scharakteryzowanie tak pięknego, a równocześnie chorego talentu, aniżeli ten zbiór szkiców Wojtkiewicza. Kto wie, czy szkic Wład. Podkowińskiego do „Szału“ nie jest bliższym duszy przedwcześnie zmarłego artysty, aniżeli ten sam przedmiot, rozciągnięty na wielkie, efektowne płótno. Juliusza Kossaka szkice i rysunki charakteryzują go tak świetnie, tak głęboko, że niejeden z jego skończonych obrazów mógłby rysunkom zazdrościć. Z tego jasny wniosek: Kossak (ojciec) był przedewszystkiem znakomitym rysownikiem, w kolorycie był czasem blady. Śliczny portrecik w rysunku Józefa Simmlera ma już swój właściwy styl, należy do epoki z przed dwóch pokoleń. Wybornie ujęty został w kilkunastu rysunkach rozmach i temperament malarski Pawliszaka, który, niestety, trwał zakrótko. Piwarskiego, Zaleskiego, Fajansa, Norblina, Orłowskiego, Buchbindera rysunki są momentami z historyi naszego malarstwa, momentami, które się doskonale na Wystawie Jednobarwnej uwydatniają.

Z działu retrospektywnego wymieńmy jeszcze nazwiska takie, jak:



R. Kochanowski. Brzozy.



Zofia. Stankiewiczówna. Kamienne schodki.

Grottger, Siemiradzki, Norwid, Chlebowski, bracia Gierymscy, Andriolli, Żmurko, Mucharski i t. d., i t. d.

Tyle dział retrospektywny.

W dziale spółczesnym, co najmniej zarówno interesującym, trudno mówić o wszystkich — raczej odesłać należy ciekawych do katalogu. Wymieńmy tylko większe cykle: cztery rysunki Ant. Kamieńskiego, portrętujące: Witkiewicza, Wyspiańskiego, Mehoffera i Podkowińskiego; rysunki te powinny być nabyte przez muzeum narodowe, jako związane ściśle z dziejami naszego malarstwa. Interesującym jest cykl fantazyi A, Gawińskiego, który również skomponował ładny afisz wystawy; dalej zbiór pejzażów Kochanowskiego, tak rzadkiego w Warszawie; wyjątkowo pięknym jest zbiór rysunków p. Anny Berentowej, dyskretnych, pracowitych, a jednak nie zagubiających nigdzie całości w szczegółach. Cykl rysunków A. Zarzyckiego znają czytelnicy nasi, przynajmniej w znacznej części. Również kilkanaście znakomitych szkiców przysłał prof. Wyczółkowski.



Jan Matejko. Kanclerz Jan Zamojski.
(Ze zbiorów ant. polsk. H. Wildera.)



Anna Berent. Z nad jeziora Garda.

Zresztą, niema pewnie wybitniejszego zpośród malarzów spółczesnych, któryby nie znalazł się na Wystawie Jednobarwnej.

Wiele rzadkich i cennych rzeczy przesłał antykwaryat polski p. H. Wildera, a zebraniem, urządzeniem i doskonałem rozmieszczeniem zajmowali się przedewszystkiem: p. Duninówna i art. malarze, M. Trzebiński i Ant. Zarzycki. *A. B.*

Kukiełka czy Persona?

„Le roi regne et ne gouverne pas". *Thiers.*

Wyraźmy się z większą atencyą. Czy prezydent Rzeczypospolitej Francuskiej ma i musi być tylko i jedynie hojnie pensyonowanym (stoma tysiącami franków miesięcznie) urzędnikiem, stojącym na szczycie hierarchii biurokratycznej dla celów reprezentacyjnych, „maszyną do podpisywania", słowem—najkompletniej biernym, urzędowym przedstawicielem Francyi, czyli też *może* być działaczem politycznym wielce wpływowym, a nawet „głową" państwa, *un chef d'état,* w pełnem rozumieniu?

Zdania są podzielone. Bodaj, że niesłusznie. Niepowinno być dwóch zdań. Prezydent Rzeczypospolitej Francuskiej może wywierać znaczny, bardzo znaczny wpływ na przebieg polityki i krajowej, i zagranicznej.

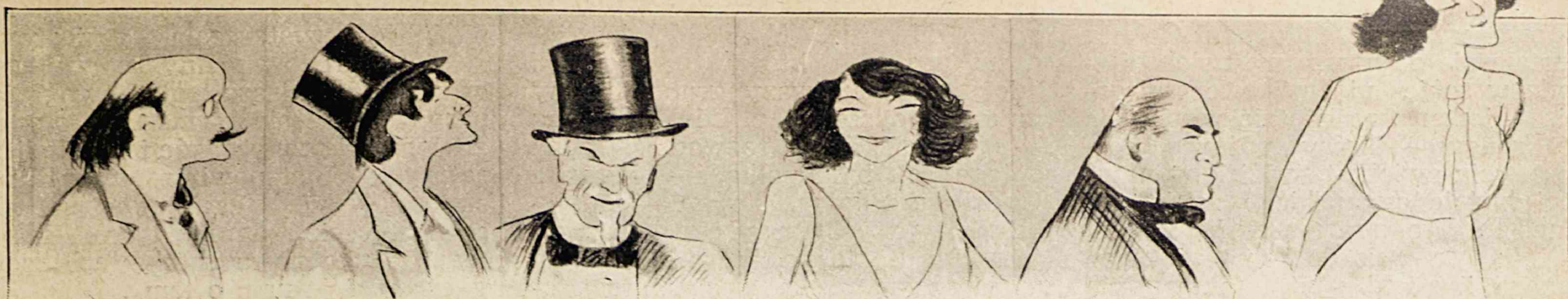
Jeżeli zechce i — potrafi.

Wytłomaczył to czarno na białem p. H. Leyret puściwszy w obieg— w sam dzień wyboru na prezydenta p. Poincaré'go — książkę, roztrząsającą prawa i przywileje „najwyższego urzędnika" państwa.

Prawa te i przywileje wyłuszczone są w „Konstytucyi" francuskiej i uchwalone zostały prawodawczo w lutym i w lipcu 1875 roku. Praw tych i przywilejów wcale pokaźna lista. Mamy tam między innemi: inicyatywę prawodawczą, mianowanie na wszystkie urzędy cywilne i wojskowe, prawo rozwiązywania (przed terminem a na żądanie senatu) Izby deputowanych, zwoływanie nadzwyczajne obu izb prawodawczych, prawo znoszenia się bezpośrednio z obu izbami drogą specyalnych odezw - memoryałów *(message),* z którego to prawa, mówiąc nawiasem, korzystali jedynie Thiers i Mac - Mahon. Prezydent ma prawo zażądać ponownych w izbie debatów nad daną sprawą. Jest to niewątpliwie swego rodzaju umiarkowane prawo *veta.* A z tego prawa żaden prezydent francuski nie skorzystał nigdy jeszcze! Dość powiedzieć, że konstytucya przyznaje prawo prezydentowi objęcia naczelnego dowództwa nad armią w czasie wojny. Z tego też prawa żaden prezydent dotąd nie korzystał, ale to prawo było uchwalone na wniosek prezydenta Mac-Mahona, który wcale poważnie gotował się, swojego czasu, do przewodzenia wojennemu „rewanżowi" za 1870 i 1871 rok.

Są atoli w „Konstytucyi" francuskiej niejasności, których nawet p. Leyret rozproszyć nie potrafił. Jakże np. rzecz stoi z mianowaniem ministrów, z powoływaniem do życia nowych gabinetów? Wszak — zgodnie z konstytucyą — *musi* każdy gabinet mieć za sobą większość parlamentarną. Tedy prezydent nie może Francyi narzucić ministrów... nie - parlamentarnych. Jego tedy niezależność jest wielce ograniczona. P. Leyret powołuje się na to, że „konstytucya" nic nie mówi o warunkach i okolicznościach, towarzyszących mianowaniu ministrów, tedy prezydent ma — ręce rozwiązane. Niechby jednak spróbował skorzystać z tej — mocno zresztą problematycznej — „swobody"!

Istnieje teorya, dowodząca, że



Edmund Rostand. Maurycy Rostand. Henryk Rochefort. Polaire. L. Guitry. Colette Willy.

prezydent powinien tylko *pro forma* przewodniczyć radzie ministrów, nie mięszając się nawet do dyskusyi, ponieważ winien pozostawać w granicach ścisłej „nieodpowiedzialności“ politycznej. Pogląd to mylny. Prezydent nietylko ma prawo zwoływać nadzwyczajne narady gabinetu, lecz może im przewodniczyć, ile razy mu się spodoba, a *powinien* doskonale znać wszystko, nad czem gabinet obraduje i, co najważniejsza, niema wcale powodu chowania pod korcem — własnej opinii.

Konstytucya nie oddaje w ręce prezydentowi steru polityki zagranicznej (prezydent np. niema prawa wypowiedzieć wojny; wojnę wypowiadają we Francyi obie izby prawodawcze; prezydent tylko ogłasza ich decyzyę). Ale — przezydentowi wolno wywierać, jaki zechce, wpływ osobisty na przebieg zagranicznej polityki. A powinno mu się komunikować całą korespondencyę dyplomatyczną, zaś minister spraw zagranicznych składa prezydentowi raporty, jak cesarzowi lub królowi. Tedy np. Grévy sam tak pokierował całą sprawą Schnöbelego, że do wojny francusko-niemieckiej w 1887 nie przyszło, a Carnot i Faure niewątpliwie dali osobiście silny impuls do zawiązania się sojuszu francusko-rosyjskiego.

Następnie — podczas obowiązkowych wystąpień uroczystych, podczas objazdów kraju, podczas bankietów i t. p., ileż-to prezydent ma sposobności nawiązać dobre stosunki między narodem a rządem, lub odwrotnie... popsuć dobry stosunek! Tedy rola jego nawet reprezentacyjna może mieć o wiele głębsze i donioślejsze znaczenie. Każde wogóle publiczne wystąpienie prezydenta musi *eo ipso* wywierać wrażenie — dodatnie lub ujemne — i przez to oddziaływa na masy i, co za tem idzie, na politykę wewnętrzną.

P. Leyret tedy dochodzi do ogólnikowego wniosku, że prezydent francuski ma nietylko prawo, ale i obowiązek: z jednej strony współpracować z rządem, z drugiej zaś strony mieć nadzór nad wszystkiemi rządu czynnościami.

Rozumie się, że nic mu nie stoi na zawadzie... nie korzystać ani z owego współpracownictwa, ani z owego kontrolowania. Jedno i drugie — uciążliwe. Tedy wygodniej usuwać się majestatycznie, zasłaniając się obawą, aby republikańska prezydentura nawet pozorów niemiała „tyranii“, „absolutyzmu“, a nawet niewłaściwego charakteru.

Wszelako, bodaj że p. Leyret zapomniał o jednem prawie, rządzącem ludzkością całą, mianowicie, że wybitna, dzielna indywidualność musi, z natury rzeczy, wywrzeć dokoła siebie wpływ, piętno swoje położyć na każdej sprawie, do której się dotknie. Bez względu na to, czy dzieje się to na szczycie hierarchii biurokratycznej, na tronie, lub na najskromniejszem stanowisku.

I wygląda, że doskonale o tem pamięta właśnie p. Poincaré, nowy prezydent Rzeczypospolitej Francuskiej. W sile wieku i w rozkwicie energii nie rwałby się przecie — do synekury. Domniemanie też i „konstytucyę“ francuską zna na wylot. Tedy gdy mu potrzebna będzie ta lub owa zmiana w prawach i przywilejach prezydenta, wystąpi z „mesażem“ do parlamentu i, jak Mac-Mahon, potrafi uzyskać to, o co mu będzie chodziło, dlatego aby właśnie nie być kukiełką — lecz personą.

Czesław Jankowski.

Kawałek „całego Paryża“.

Paryż nie został zdegradowany. Zachował on swój powab i swój pociąg. O jego zgniliźnie słyszymy ciągle, a od nikogo głośniej, aniżeli od francuzów samych. Od nikogo przecież częściej, aniżeli od — niemców. Drapieżnicy, wywłaszczyciele, brutale słowa moralności mają ciągle na ustach i ciągle gotowi są wycierać próchna z pod cudzych powiek. Kiedy Wilhelm I ciągnął na Paryż, przekonywał swe otoczenie, — choć prędzej pewno przez swoje otoczenie był przekonywany,—że szedł na... wojnę świętą. Nowoczesny Babilon zasłużył na zburzenie kulą i kolbą pruską. Obecnie, przy debatach nad powiększeniem armii niemieckiej, wstał pewien pruski hrabia i piętnował—francuskie zepsucie. O niemieckiem — nie wspomniał...

Paryskie zepsucie istnieje niezawodnie. I jest ono tem niebezpieczniejsze, że ma formy takie miłe, zgrabne, przytulne. Ale francuzi mają tego zepsucia dosyć już i naseryo myślą o odrodzeniu się. Najznakomitszy francuski aktor, Guitry, który całe życie grywał kochanków mężatek albo kokotek, — jego najświetniejsza rola—to Armand w „Damie Kameliowej“, — obecnie zbiera oklaski za rolę pułkownika w „Servir“ Lavedana, rolę, w której ten oficer, ciężko ukrzywdzony przez podłego ministra-masona, poza kadrami wojska służy ojczyźnie całą duszą i na pierwsze słowo następnego ministra gotów jest do usługi, wymagającej pewnej śmierci. Ten amant zawodowy przemienił się w bohatera — z dnia na dzień...



Paweł Robert. Bernstein.

Chętnie widzimy w tem symbol Francyi...

Zresztą, jaskółek na nową wiosnę w tym kraju już pełno... Nie znam wstrętniejszego jegomościa w literaturze francuskiej nad Willy'ego. Jego żona służyła mu za model do cyklu „Klaudyna“, pisanego--niemal samym brudem. Jego kochanka śpiewała w tinglach sprośne piosnki, wyrzucając cienkiemi nogami nad głową skom-



Hebrard. Edwards. Helleu. Boldins.

plikowane figury. Gdy pani Coletta rozstała się ze swym mężusiem, odkryła w sobie piękny talent pisarski, — jeden z najistotniejszych dziś we Francyi, — który poświęca opisom życia zwierząt, wdzięków natury i nudzie cygańskiego życia. A panna Polaire, *najchudsza kobieta na świecie*, przeszła do komedyi, — co stanowi już jakby początek wejścia na dobrą drogę, ponieważ to w komedyi francuskiej dusza francuska robi dziś najwyraźniejszy wysiłek do odrodzenia. Stare przysłowie powiada, że „ryba psuje się od łba", nowe dodaje do tego: „a społeczeństwo od teatru". Może naprawa idzie w kierunku — ściśle tym samym...

Jest w każdym razie dziedzina życia paryskiego jeszcze brudniejsza, jeszcze bardziej zepsuta, jeszcze ohydniejsza, aniżeli teatr paryski ostatnich lat, — to prasa. To śmietnik. To gnojowisko. W poczytnych pismach paryskich wszystko możecie wydrukować, — stosownie do taryfy. Jeżeli notoryczny idyota chce mieć artykuł wstępny, kwalifikujący go, jako geniusza, to tylko drożej kosztuje, aniżeli wtedy, gdyby tej kwalifikacyi zażądał mąż z talentem. Najpoważniejsze pismo paryskie, *Le Temps*, organ p. Hebrarda, piszący tym samym tonem, w jakim zwykli przemawiać uczciwi i przekonani ludzie, — jeszcze jest... sklepikiem. Tylko Hebrard ma głowę na karku i odwagę swych przekonań. Kiedy oskarżono go o łapówki od zarządu panamskiego, najspokojniej odrzekł: „Ależ tak, — sporo dano mi pieniędzy w formie ogłoszeń, — a ja popierałem tę sprawę. Miałbym nie popierać mojego klienta?!" Sędziowie wtedy zgłupieli, a Hebrard wyszedł z sądu z tryumfującem obliczem.

Jednak — oddajmy mu sprawiedliwość, — nie można wątpić, że ten zręczny mąż wolałby popierać uczciwe całkowicie przedsięwzięcia. Jest w tem odcień moralny. Tylu dziennikarzom jest to *gancpomade*...

Nieśmiertelny Rochefort łapówek nigdy nie brał. Nawet w formie ogłoszeń. Lecz znalazł on innys posób na to, aby być tyleż moralnie wartym, co różni Bunau-Varilla, właściciele „Matina". Występuje on zawsze i przeciwko wszystkiemu, co jest na górze. I kiedy na górze znajdą się jego własne przekonania, wyrażane przez ludzi, którzy się nauczyli myśleć z jego artykułów, on i ich „w łeb!".

— W łeb!

Zawsze w łeb! Każdego w łeb! Jedyny to gest publicystyczny, jaki on praktykuje, jedyny, jaki zna.

A potrzeba, aby jakieś społeczeństwo było bardzo chore, żeby taki pan z maczugą do wszystkiego mógł przeżyć całe życie w zbytku...

Powiadają, że to zepsucie prasy francuskiej jest importem amerykańskim i że pierwszy je z całym cynizmem praktykował założyciel *Matina*, p. Edwards. Może. Znalazł jednak uczniów, którzy prześcignęli mistrza. Zarobiwszy grube miliony na swym systemie, p. Edwards teraz — ciągle się żeni i rozwodzi. Jedna z jego żon była polką, — to panna Godebska z domu. Druga — najpiękniejsza paryżanka swego czasu, — to panna Lentelme, która się utopiła po pijanemu. Z temperamentem jegomość...

Wróćmy jednak do teatru. Spodziewać się należało może, iż w odrodzeniu obecnem weźmie udział czynniejszy Rostand. Wszak to on pierwszy nowej Francyi począł mówić o heroizmie?! Wszak on pierwszy przywołał na scenę francuską ród bohaterów, — którzy zdawali się już być nazawsze w tym kraju pogrzebani? Cyrano! — Chantecler!—Orlę!... Ten talent długo ugoruje, niestety, zanim do żniwa stanie się przydatnym. I dlatego, o ile teorya Brunetiera jest prawdziwa, — nie jest to pisarz z geniuszem prawdziwym. Albowiem jedna z najistotniejszych cech geniuszu—to płodność. Vide: Szekspir, Goethe, Byron. Syn Rostanda także jest poetą. Już nawet dał się poznać szeroko paryskiemu światu, — rzadka to rzecz sława w tak młodym wieku, — porywając staremu Guitremu... jego kochankę, i to w czasie prób sztuki ojca... Obiecujący młodzieniec, jednem słowem...

Natomiast nie brakuje na płodności p. Bernsteinowi. I gdyby sama płodność wystarczała geniuszowi, byłby to bardzo genialny pisarz. Tymczasem od geniusza teatralnego świat przyzwyczaił się wymagać, oprócz znajomości sceny, także i trochę literatury... To stanowi rozpacz Bernsteina właśnie. Jest on wszystkiem, czem chcecie, oprócz tylko literatem... Jego nowa sztuka „Sekret" przypomniała nam o tem...

Jeden francuz mówił mi:

— Jakże bylibyśmy cnotliwi, gdybyśmy mieli — inne kobiety?

Jest w tem racya. Paryżanka wiedzie człowieka na pokuszenie z potęgą, której tylko święty może się oprzeć, albo ślepy. Zobaczcie, czem jest paryżanka, gdy wam ją narysuje Helleu, gdy wam ją namaluje Boldini? Jest to zatracenie duszy w kapeluszu za 300 franków! Jest to piekło otwarte w kostiumie tysiącofrankowym!

Dobrze zorganizowane społeczeństwo francuskie, naród francuski, dostatecznie przygotowany do zwycięstw nad prusakami, powinienby może zacząć od wygnania wielkich modniarzy paryskich i ich poetów: malarzy, „którzy *czują* paryżankę".

Ot, powinno wyjść prawo, które pozwoli pięknym kobietom portretować się tylko przez Sema, — autora szkiców, jakiemi nasz niniejszy felieton paryski przyozdobiliśmy...

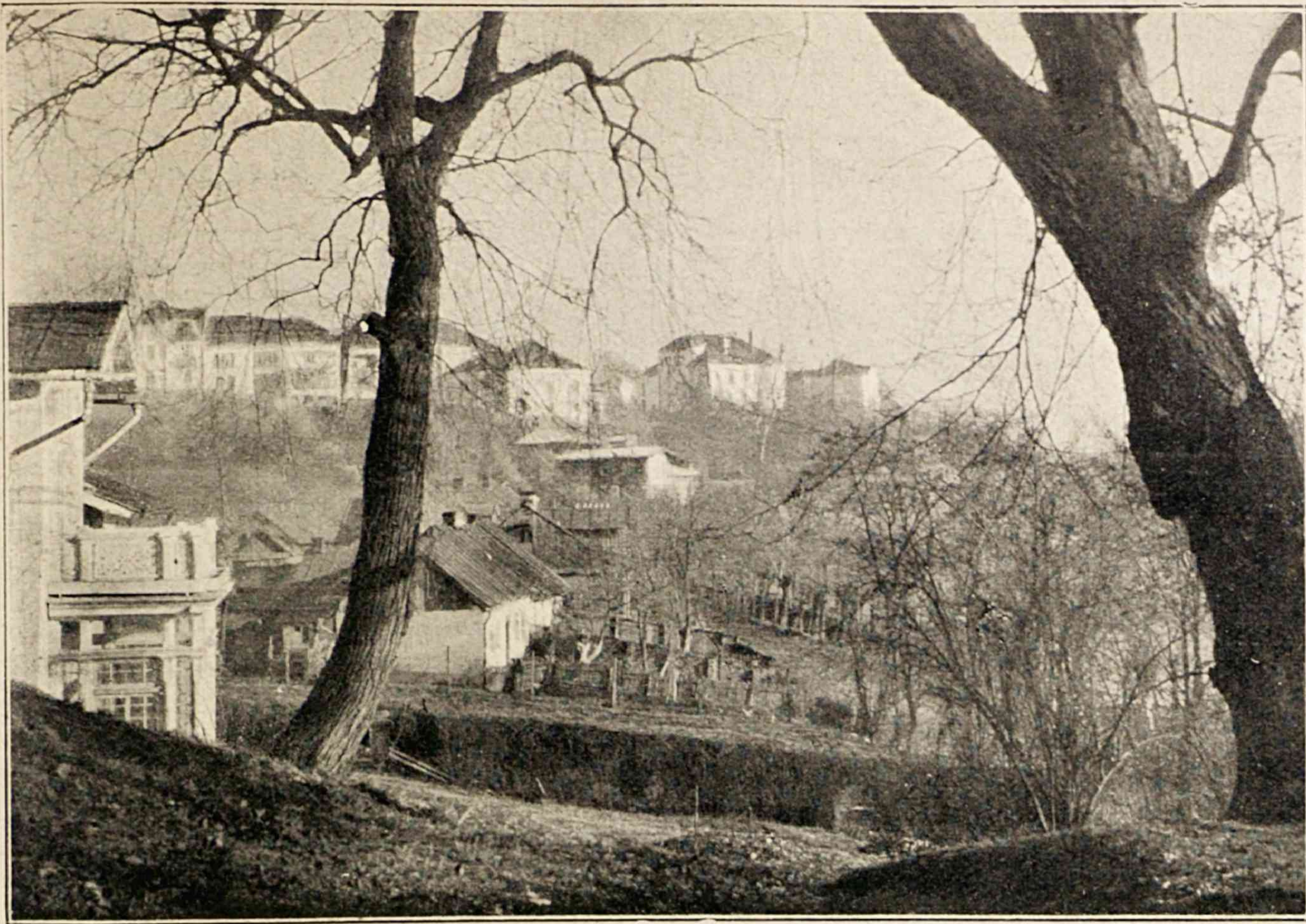
Paryż. *Emigrant z r. 1911.*

Pożegnanie księcia Józefa z krajem.

Odkryto w Krakowie jeszcze jedną, zapomnianą, wyjątkowego uroku pełną pamiątkę. Jest nią ustronna posiadłość, nosząca zdawna nazwę „domu pod lipkami", położona na Zwierzyńcu opodal starożytnego klasztoru Norbertanek. Dom „pod lipkami", zbudowany na lekkiem wzgórzu, opadającem ku Wiśle, ujmuje niezwykłą malowniczością. Szumi nad nim odwieczny park, z którego tarasu roztacza się widok rzadkiej piękności na potężne mury klasztorne, wznoszone ręką jeszcze legendowego Piotra Dunina Własta, na wstęgę Wisły, na Wawel, na roz-



Dwór „pod Lipkami" w Krakowie.



Widok z ogrodu „pod Lipkami".



Lipa, pod którą odbył się pożegnalny podwieczorek ks. Józefa w Krakowie, przed wyruszeniem na bój pod Lipskiem.

łożoną w dole panoramę wież i szczytów Krakowa. Pośród drzew w parku góruje trójramienna sędziwa lipa o ogromnej koronie, jedyny dziś żyjący świadek czasów, kiedy Zwierzyniec dzisiejszy był jeszcze istotnie knieją i gdy rozlegał się tu róg królewskich łowów. Pod prastarą tą lipą leży omszały kamień z wyrytym na nim stuletnim, wybornie dotychczas czytelnym wierszem:

Kiedy się wszystkie smutki na mą duszę zlały,
Kiedy bolesnym czuciom szukać ulgi chciałam,
Mieysce mego dumania był ten zakąt mały.
Nadzieie i pamiątki z sobą tylko miałam,
Pociechy moie były uczuciów niewinność,
Piękne niebo i szczera mieszkańców gościnność.

Zofya z Czartoryskich Zamoyska.
1813.

Ten wiersz i ta data wiążą się bezpośrednio z wspomnieniem wielkich dziejowych wypadków, których stulecie przeżywamy... Tu, pod tą trójramienną, ogromną lipą, lat temu sto, w dniu 8 maja 1813 r., odbyło się z udziałem świetnego towarzystwa polskiego pożegnanie księcia Józefa Poniatowskiego z krajem ojczystym, przed wyruszeniem na ostatni bój, przed Lipskiem i śmiercią z falach Elstery. „Podwieczorek" pożegnalny, urządzony przez damy polskie „pod lipkami", to była ostatnia chwila, jaką bohaterski wódz spędził na ziemi rodzinnej, w kole przyjaciół. Nazajutrz rano wyruszył w drogę, z której już nigdy powrócić nie miał żywy, z której powrócił już tylko po to, by ledz w podziemiach Wawelu.

Książę Józef przybył do Krakowa 20 lutego 1813 r. Gdy po pogromie Napoleona armia rosyjska przekroczyła Wisłę i zbliżyła się ku Warszawie, książę, wraz z Radą ministrów i ośmiotysięcznym swym korpusem, cofnął się na południe, by tu, w oczekiwaniu dalszych wypadków, skupić i zreorganizować swe siły. Mały Kraków odzyskał na chwilę splendor stolicy kraju. Rząd i armia stanęły w jego murach. W radosnem upojeniu, uderzeniem w dzwony wszystkich kościołów i biciem przyśpieszonem serc witało miasto wkraczającego wodza. Polska nie czuła jeszcze całej doniosłości klęski, poniesionej w wyprawie na Moskwę. Wierzyła w gwiazdę Napoleona i w swój własny, wypróbowany miecz, czekała na odwet. W Krakowie nie było przygnębienia. Wcześniej nieco, niż wojsko, ściągnięło tu liczne i wykwintne towarzystwo warszawskie, i mała stolica zaszumiała wirem karnawału, tak hucznego, jakiego tu dawno nie widziano. W tem kole jaśniała czarem wyjątkowej urody Zofia z Czartoryskich ordynatowa Zamoyska, córka generała ziem podolskich i Izabeli z Flemingów, jedna z najpiękniejszych i najsubtelniej wytwornych dam swego czasu. Pani Zamoyska przybyła do Krakowa już w styczniu i zamieszkała w pałacu rodzinnym przy ulicy św. Jana. W czasie jednej z wiosennych podmiejskich wycieczek na Zwierzyniec spostrzegła ową prześliczną posiadłość w cieniu odwiecznych lip i nabyła ją na własność. To ustronne zacisze, zgodnie z sentymentalnym duchem epoki, przeznaczyła na swą „świątynię dumania". Pani Zamoyska lubowała się w sztuce ogrodniczej, była wszak córką znakomitej znawczyni tego kunsztu, autorki dzieła „O urządzaniu ogrodów w Polsce", posiadała sama smak niepospolity, to też niebawem ogród „pod lipkami" stał się schronieniem, podwójnie czarującem: wyposażonem hojnie przez przyrodę i wypieszczonem kunsztem ręki ludzkiej. I tu właśnie pani Zamoyska podejmowała ostatnim na ziemi ojczystej „podwieczorkiem" bohatera z pod Raszyna, śpieszącego na pole śmierci.



Zofia z Czartoryskich Zamoyska *(z portretu Greuze'a, własność Z. hr. Zamoyskiego w Wysocku).*

W końcu kwietnia nowe pułki polskie, formowane w Krakowie, stały już pod bronią. Po dramatycznem pasowaniu się z sobą, w czasie którego podwakroć zajrzał w lufę pistoletu, książę Józef rozstrzygnął o losie swoim i nowozaciężnych sił zbrojnych. Wódz polski pozostał wierny „honorowi", a niewątpliwie i instynktownej politycznej mądrości. Wytrwał przy Napoleonie. 5-go maja wojsko polskie wyszło z Krakowa i rozłożyło się obozem na wzgórzach Krzemionek, a w dwa dni potem rozpoczął się jego pochód ku Saksonii. 8-go maja sam książę pożegnał się z Krakowem i z Polską.

Ten moment, związany z ogrodem „pod lipkami", przekazał nam pamietnikarz tamtych czasów, Julian Falkowski, autor „Obrazów z życia kilku ostatnich pokoleń w Polsce". „Towarzystwo krakowskie —

opowiada — za przewodem pani ordynatowej Zofii Zamoyskiej uprosiło go, żeby w przeddzień wyjścia przyjął jeszcze podwieczorek pożegnalny „pod lipkami“ na Zwierzyńcu. Książę udał się na to zaproszenie ze swoim sztabem i kilku generałami i w cieniu tych starych, rozłożystych lip, tworzących w tej porze roku jakby baldachim z świeżej zieloności nad głowami, wśród uroczego krajobrazu u stóp góry św. Bronisławy, mając przed sobą roztaczającą się w malowniczych zakrętach szeroką wstęgę Wisły, na lewo kąpiący w niej stopy swoje królewski Wawel, a na prawo malownicze Bielany ze swym klasztorem, bohater nasz przepędził ostatnie miłe i wesołe chwile swego życia“. „Podwieczorek“, którego gospodynią była pani Zamoyska, przeciągnął się do późnej godziny, gdyż żegnano się „przy świetle księżyca“ i przy srebrnym blasku jego książę Józef, w otoczeniu świetnego sztabu, opuszczał gościnny ogród „pod lipkami“. Nazajutrz rano całe towarzystwo, tym razem już wraz z tłumem ludu, zebrało się nad brzegiem Wisły, od klasztoru zwierzynieckiego aż do „lipek“. „Za ukazaniem się księcia na drodze ku Mogilanom na czele swej kolumny — opowiada Falkowski — lud żegnał go serdecznemi okrzykami, panie powiewały chustkami i ścigały hufce nasze ze łzami w oczach, póki nie znikły w dali“.

W pięć miesięcy później, 19 października, książę Józef znikł w falach Elstery.

Gorącą miłośniczkę narodu, panią ordynatową Zamoyską, owo wspomnienie pożegnalne związało tem silniej z piękną posiadłością podmiejską „pod lipkami“. U stóp trójramiennej odwiecznej lipy, na pamiątkę wieczoru, który tu spędził ks. Józef, położyła pani Zamoyska, obyczajem ówczesnym, płytę kamienną z francuskim napisem, z którego dziś pozostała tylko wymowna resztka: 8 Mai 18... i oderwane litery. Ale zachowały się inne, smutniejsze pamiątki. Gdy z zachodu nadchodzić poczęły złe i coraz gorsze wieści o przegranej pod Lipskiem, o zgonie uwielbianego bohatera, o upadku potęgi Napoleońskiej, z którą tak długo wiązały się polskie rachuby, pani Zamoyska wiele chwil smętnych przeżyła w swej „świątyni dumania“, dając im wyraz wierszami, wykutemi w kamiennych głazach. Dwa przetrwały bez szkody do dziś. Przytoczony wyżej sześciowiersz, oznaczony datą: 1813, musiał powstać jesienią, gdy katastrofa pod Lipskiem była już faktem spełnionym. Na drugiej płycie widnieją od stu lat melancholijne, w stylu swego czasu ułożone wyrazy:

Tylu bolesnych Uczuć i Smutku przyczynie
Sam tylko Wyrok Nieba cenę nadać może.
Nigdy w cnotliwych Duszach Nadzieia nieginie,
Ta i wśród ostrych Kolców wdzięczne pieści róże.
Wszędzie za Cnotą idzie Uczuciów Niewinność,
A Sama ią da poznać Ludziom Dobroczynność.

Głazy te i prastara lipa, pamiętającą pożegnanie księcia Józefa z ojczyzną, trwają do dziś w ogrodzie „pod lipkami“, opromieniając urokiem wspomnień piękne zacisze, z którego, jak przed stu laty, jak wówczas, gdy spoglądali stąd rycerze Napoleońscy, roztacza się niezmiennie czarujący widok na Kraków. Pamiątkowy ogród „pod lipkami“ nie skończył swej historyi na r. 1813. Stał się na długo popularnym, przechodził niejednokrotnie do literatury. Pani Zamoyska przez szereg lat otaczała go troskliwą opieką, pielęgnowała kwiaty i sama zasadzała drzewa, urządzała tu przyjęcia „podwieczorkowe“, jakby dla uczczenia tradycyi pamiętnego „podwieczorku“ księcia Józefa, w cieniu trójramiennej lipy, jak zapisuje w swych wspomnieniach syn, generał Władysław Zamoyski, trawiła długie godziny na rozpamiętywaniu losów kraju, a pod nieobecność swą otwierała ogród chętnie dla publiczności z miasta.

„Lipki“ miały odtąd szczęście do właścicieli. Dziwnym trafem, przechodziły często w ręce poetów i ludzi pióra, i to stanowi ich dalszy, osobliwy urok. Należały do Franciszka Wężyka, który nie zaniedbał opisać ich swym klasycznym wierszem. Przebywał tu Edmund Wasilewski i tu zapewne tworzył swój poemat „Skargi drzew“, w którym opiewa ową przedwieczną lipę, nazywając ją „siostrą zwierzynieckiego klasztoru“. Był właścicielem tego ustronia Walery Wielogłowski, zasłużony budziciel krakowskiego życia umysłowego w połowie ubiegłego wieku, autor powieści obyczajowej „Kraków przed czterdziestu laty“, w której gęsto jest mowa o „Lipkach“. Gromadzili się tu nieraz pisarze, artyści i działacze publiczni. Przed kilku laty, po dłuższem zapomnieniu i zaniedbaniu, przeszły „Lipki“ znowu w ręce, godne tej posiadłości, pełnej wspomnień. Uroczą siedzibę opromieniła swym pięknym i piękno miłującym duchem przedwcześnie zgasła Konstancya Stepowska, utalentowana i skrzętna badaczka dziejów sztuki. Właściciel dzisiejszy, znany i zasłużony działacz oświatowy, dr. Maryan Stepowski, podniósł dwór „pod lipkami“ z zaniedbania, otoczył troskliwą opieką pozostałe pamiątki i w stulecie roku 1813 przygotował monografię tego historycznego ustronia.

W dniu 8 maja r. b. z inicyatywy Towarzystwa opieki nad polskiemi zabytkami sztuki i kultury w Krakowie święcić będą „Lipki“ skromnym obchodem swój stuletni jubileusz. Na murze ogrodowym willi umieszczona zostanie tablica, która dalszym pokoleniom wskazywać będzie miejsce, gdzie wódz narodowej armii i piastun polskiego honoru, książę Józef Poniatowski, wraz z sztabem swym, spędził ostatnie chwile pobytu na ziemi ojczystej.

Kraków. *Clarus.*

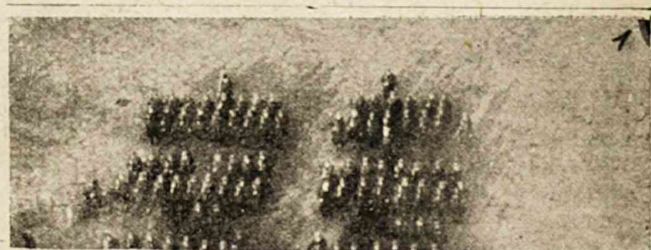
Tylu bolesnych Uczuć i Smutku przyczynie
Sam tylko WYROK Nieba cenę nadać może
Nigdy w cnotliwych Duszach Nadzieia nieginie
Ta i wśród ostrych Kolców wdzięczne pieści róże
Wszędzie za Cnotą idzie Uczuciów Niewinność
A Sama ią da poznać Ludziom Dobroczynność

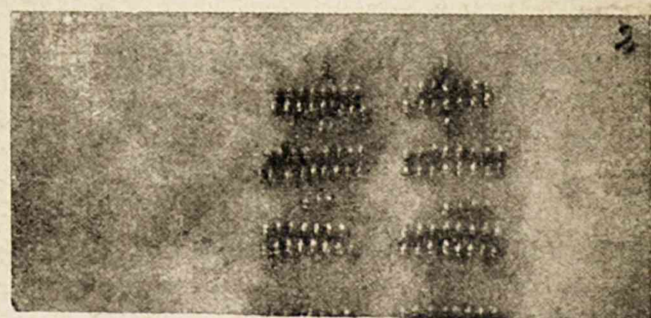
Facsimille na płycie pamiątk. „pod Lipkami“.

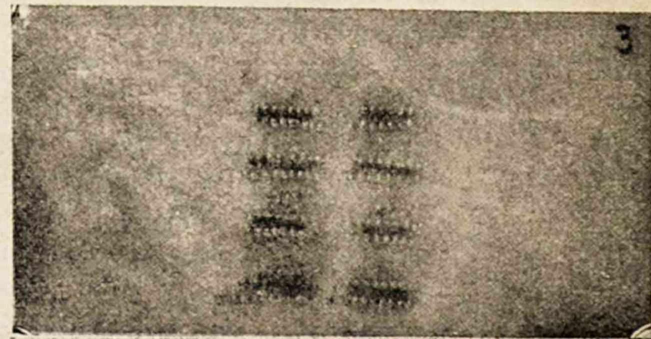
Współzawodnicy powietrzni.

Przypadkowe, a może i nie przypadkowe, jak sądzą niektórzy, odwiedziny Zeppelinowskiego balonu w Lunéville, naoczny widok w granicach Francyi powietrznego rywala, a w niedalekiej przyszłości może i wroga, ześrodkowały znowu uwagę powszechną republiki na niebezpieczeństwo, które aż do roku zeszłego dosyć lekko sobie ważyła. Pisma wojskowe, pisma zawodowe, tygodniki i cała prasa codzienna wytoczyły znowu na swe łamy smutną sprawę słabości Francyi w powietrzu w porównaniu z najbliższym o miedzę sąsiadem. Zresztą, nie milkła ona od ubiegłego roku, kiedy po raz pierwszy odezwały się poważne ostrzegawcze głosy, których skutkiem były miliony, uchwalone przez parlament, i narodowa składka na zbrojenia powietrzne.

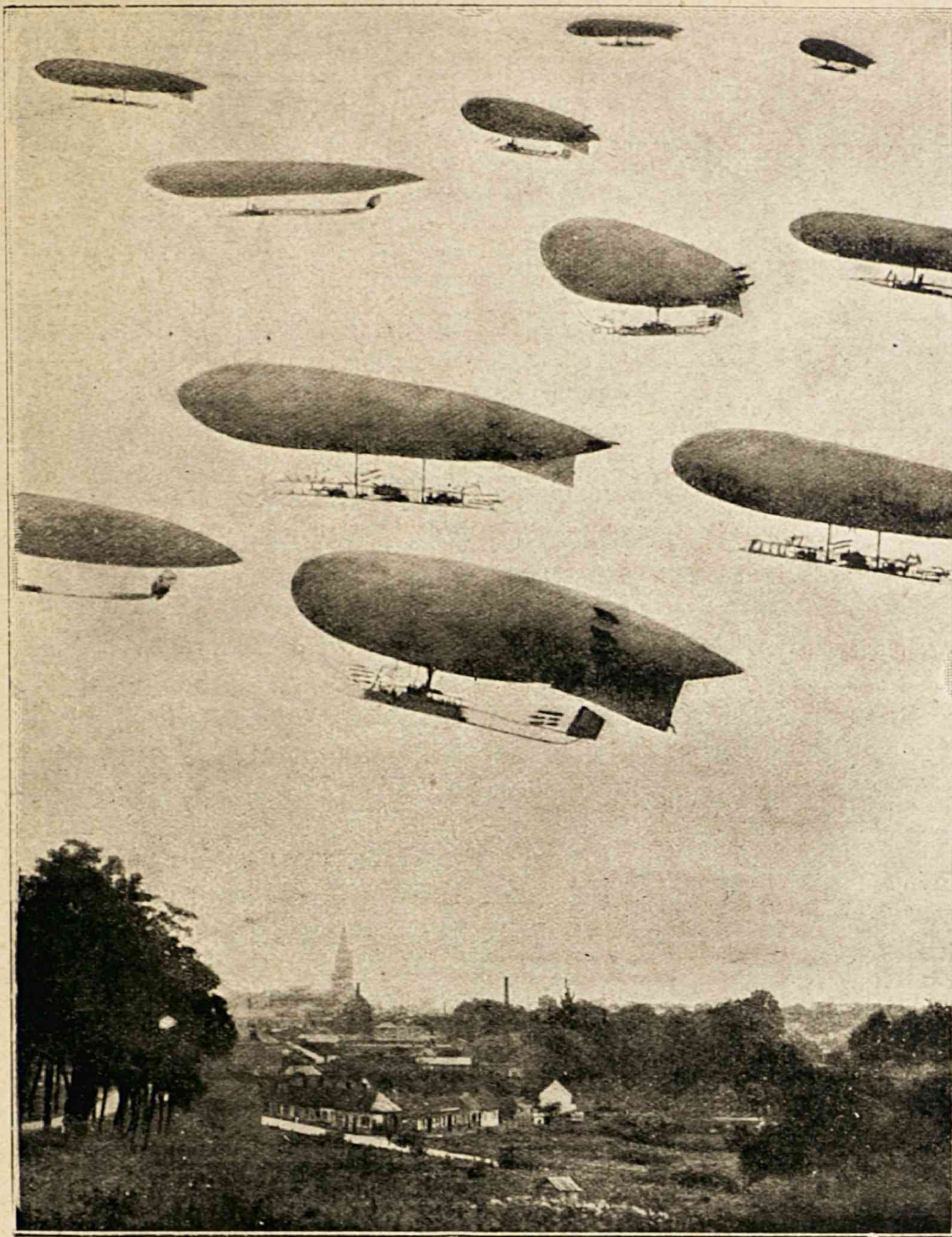
W ostatnich miesiącach sprawa







Fotografia z balonu. Dwa oddziały wojska fotografowane: 1) z wysokości 200 mtr., 2) z wysokości 400 mtr., 3) z wysok. 500 mtr.



STATKI POWIETRZNE FRANCUSKIE. 11 jednostek o pojemności 70,000 mtr. sz. i największej szybkości 50 klm. na godzinę.

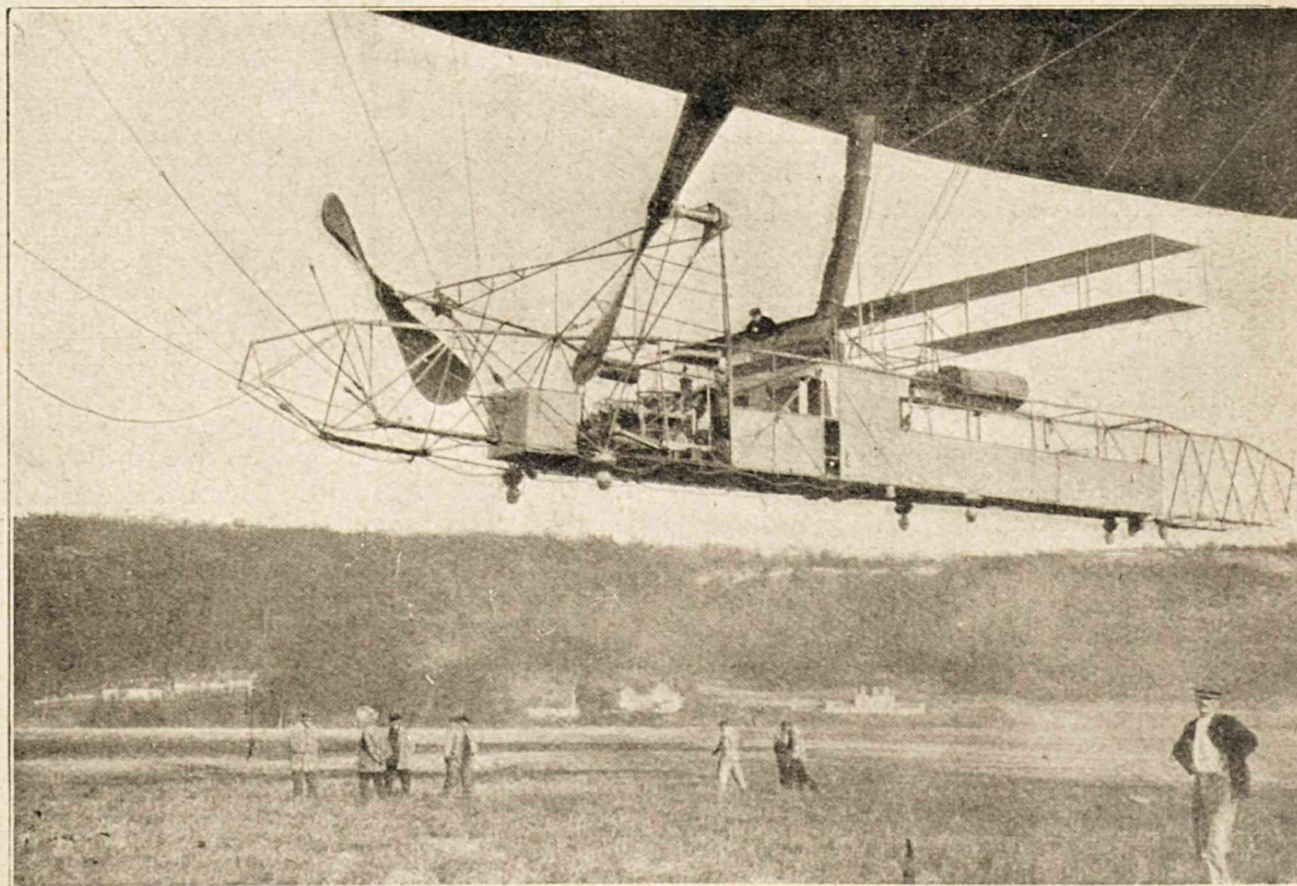


FLOTA POWIETRZNA NIEMIEC. 26 jednostek bojowych o pojemności 250,000 mtr. sz. i przeciętnej szybkości 70 klm. na godzinę.

stała się znowu niezwykle aktualna skutkiem ogólnego napięcia sytuacyi międzynarodowej; obecnie niezbyt miłe odwiedziny Zeppelina w francuskiej twierdzy stały się jakby namacalnym przedsmakiem niebezpieczeństw przyszłości.

Aby zdać sobie sprawę z słuszności czy przesady tych obaw, rozpatrzmy materyał, jakim oba współzawodniczące państwa rozporządzają do przyszłej wojny w powietrzu. Ilością, sprawnością i doskonałością balonów górują Niemcy bardzo znacznie nad Francyą. Mowa cyfr jest ścisła i przekonywująca: Otóż z końcem 1912 r. posiada Francya 11 balonów motorowych, w tej liczbie kilka niezdatnych do użycia, o pojemności ogólnej gazu 70.000 mtr. sześć.; największy z nich ma zaledwie 9.000 mtr. sześć. pojemności; największa szybkość wynosi 50 klm. na godzinę. Niemcy przeciwstawiają temu 26 balonów sterowych, przeważnie w dobrym stanie, o pojemności ogólnej 250.000 mtr. sześć., przeciwstawiają olbrzymy, z których największy ma 20.000 mtr. sześć. pojemności, a kilka po 15.000, z których każdy bez wysiłku przebywać może conajmniej 70 klm. na godzinę.

Prawda, Zeppeliny były, możnaby powiedzieć, prześladowane stale przez siły przyrody, lądowanie ich jest trudniejsze, aniżeli niesztywnych lub półsztywnych balonów, katastrofa druzgocze całą sztywną budowę. Ale, przedewszystkiem, dzięki tym katastrofom niemcy nauczyli się bardzo wiele, nabrali doświadczenia, mogli wprowadzić i wprowadzili niejedno udoskonalenie; powtóre zaś, ta wada sztywności ciała balonowego staje się właśnie zaletą podczas walki powietrznej, ponieważ raniony pociskiem Zeppelin nie ginie na miejscu, co jest smutnym losem innych systemów. Bo jeżeli nawet pocisk ugodzi w balon, to niszczy tylko jeden lub dwa zbiorniki gazu, kryjące się wewnątrz sztywnej opony; inne mogą ocaleć i, dzięki temu, Zeppelin, choć osłabiony, utrzyma się jeszcze



Francuski balon wojskowy „Clément Bayard VII".

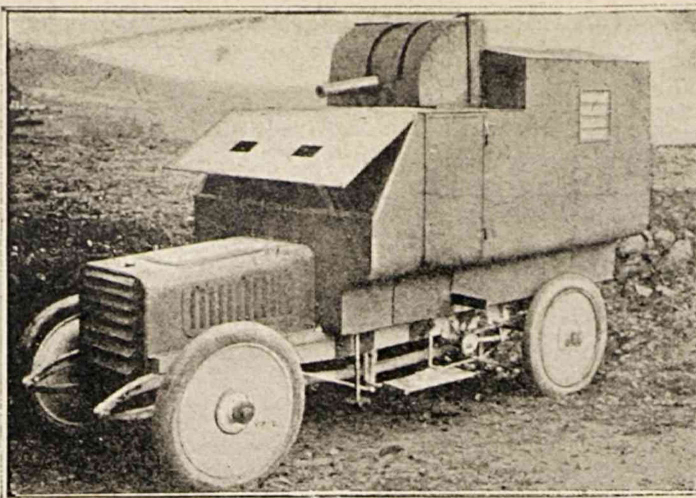
w powietrzu. Tymczasem rozdarcie powłoki w innym systemie równa się zupełnej katastrofie; trafiony balon spada, jak zabity ptak, na ziemię.

Na wszystkie te szczegóły zwrócił zupełnie otwarcie uwagę francuskich sfer wojskowych deputowany Veillal w jednym z tegorocznych zeszytów „France militaire“, dodając niedwuznacznie, że dla takiego statku powietrznego przebycie w ciągu jednej nocy drogi z Metzu do Paryża i z powrotem jest łatwem zadaniem, przypominając, że statek, unoszący swobodnie 5.000 klg. ciężaru użytkowego, może rozsiać po drodze sporo pocisków wybuchowych, wzbudzić panikę w stolicy, niszczyć tory kolejowe, forty i t. p. Francya zaś posiada dotąd tylko jeden statek, podobny do Zeppelina, chociaż zbudowany z drzewa, nie z aluminium, balon „Spiess“, podarowany armii przez inżyniera alzackiego, Spiessa. Na podstawie ostatniej uchwały parlamentu, siła powietrzna Francyi wzmoże się wprawdzie w najbliższej przyszłości do 20 statków powietrznych, ale ponieważ i Niemcy nie zaprzestają zbrojeń powietrznych, więc stosunek jest i będzie nadal dla Francyi niekorzystny.

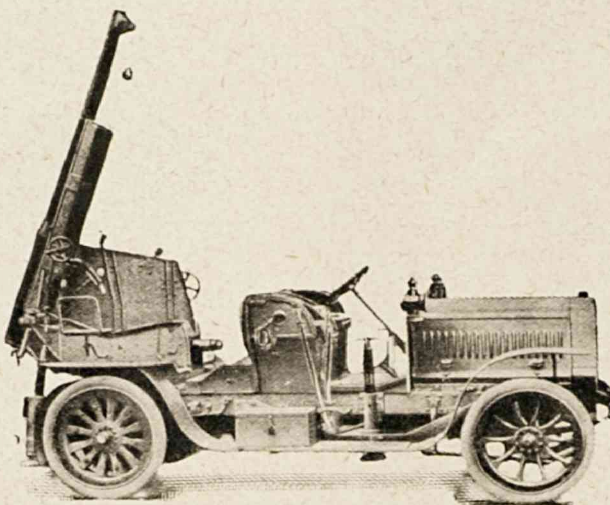
Za potęgę swą powietrzną uważała dotąd Francya wyłącznie aeroplany i przez czas jakiś przewyższała istotnie Niemcy ilością aparatów lotniczych, a przedewszystkiem sprawnością swych pilotów. Ale, jak stwierdzają znowu sami specyaliści francuscy, liczba 334 ptaków powietrznych, oznaczona w roku ubiegłym przez najwyższą radę wojenną, jako minimum, to dopiero nadzieja przyszłości; dzisiaj 90 oficerów i 10 podoficerów, posiadających *„brevet“* pilotów, nie ma nawet jeszcze na wypadek wojny dostatecznej ilości aparatów, zdatnych do użytku. Nie można wątpić, że, wrazie potrzeby, kadry te wzmocniłyby się znacznie lotnikami prywatnymi, śpieszącymi na obronę zagrożonej ojczyzny, ale i to nawet może nie zapewnić jeszcze przewagi.

Albowiem nie można zapominać, że Niemcy, lekceważące zrazu lotnictwo wojskowe, dzisiaj już idą w niem naprzód krokami olbrzyma. W Strasburgu, w Doeberitz, w Johannistalu kształci się szereg pilotów, szereg wynalazców dokonuje udoskonaleń; działalność jednych i drugich pokrywa zasłona tajemniczości.

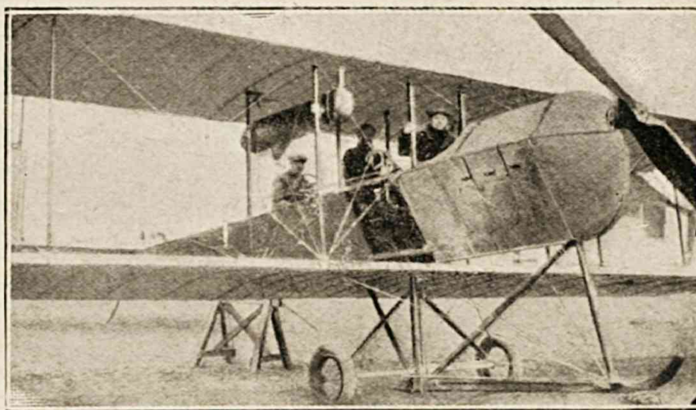
Czasem tylko wyjdzie na jaw jakiś szczegół, jak ten, naprzykład, o którym korespondent „Matina“ pisał w słowach następujących: „W troskliwie strzeżonym hangarze w Doeberitz kryje się „Gołąb“, prawdziwy mały pancernik powietrzny, wyposażony na przodzie mitralieżą, z której lotnik może dawać strzały, nie ruszając się z miejsca. Gdy ptak taki wzniesie się czasem w górę, można, omyliwszy czujność władz, dojrzeć przez lunetę małą rurę stalową, zwisającą z błyszczącego, metalowego



Niemiecki automobil pancerny do ostrzeliwania balonów.



Francuskie działo przeciwbalonowe, pomysłu kapitana Houberdona.



Francuski dwupłatowiec pancerny „Astra“.

kadłuba. Więc to są gołębie z Doeberitz! Jest ich już podobno dwanaście; 12 oficerów, związanych świętą przysięgą, dokonuje próbnych wzlotów i próbnej kanonady. Oczywiście, w największej tajemnicy“.

Tym pancernikom, jeżeli rzeczywiście istnieją i nie są tylko przywidzeniem paryskiego korespondenta, może Francya w obecnej chwili przeciwstawić jeden tylko opancerzony dwupłatowiec „Astra“ z siedemdziesięciokonnym motorem, lecz nie posiadający broni; dalsze aeroplany tego typu będą dopiero dziełem przyszłości, narazie są tylko objęte ogólnym planem zbrojeń powietrznych. Wobec tajemnicy, jaką rząd niemiecki otacza swoje zbrojenia powietrzne, nie można zestawić sił obu współzawodników w dziedzinie lotniczej; tem niemniej nie ulega wątpliwości, że ogromna początkowa przewaga Francyi należy już dzisiaj do przeszłości i że albo bardzo zmalała, albo też nawet zeszła do zera.

I dlatego zrozumieć można patetyczne nawoływania bardzo poważnych pisarzy wojskowych francuskich, w rodzaju takich naprzykład: „Jeżeli nie zdecydujemy się działać szybko, rok 1913 może doprowadzić do bankructwa naszego lotnictwa wojskowego, tak, jak rok 1912 zapisał się bankructwem naszych balonów motorowych. Jeszcze czas, należy działać, bo jutro może być zapóźno!“

W zakresie środków do walki w powietrzu i zwalczania balonów i aeroplanów przez wojska lądowe pracują Niemcy także energiczniej i skuteczniej od Francyi. Nadzieje, przywiązywane do rzucania ręcznego, czy z pomocą aparatów, bomb z aeroplanu zawiodły; konkurs „aero-cible“, rozpisany przez braci Michelinów, nie dał żadnego prawie rezultatu, potwierdzając tylko nieudane próby, dokonane na terenie rzeczywistej wojny, w Trypolitanii. Tymczasem Niemcy, jak doniosło niedawno „Militaer. Wochenblatt“, skonstruowali już specyalne karabiny i pistolety do wystrzeliwania pocisków przeciw balonom i aeroplanom, wymyślili pociski ogniste, które rozrywają powłokę i równocześnie zapalają gaz balonu. A przecież właśnie, posiadając broń taką, staliby się doświadczeni i sprawni piloci francuscy bardzo groźnymi przeciwnikami dla niemieckich olbrzymów balonowych, nastręczających doskonały cel.

W kierunku tym może się Francya pochlubić tylko praktyczną armatką szybkostrzelną, umocowaną na samochodzie, co daje jej możność ścigania balonu nieprzyjacielskiego i atakowania go w najdogodniejszych do strzelania warunkach. Ale i pod tym względem Niemcy nie pozostali dłużni; w warsztatach rządowych zbudowano opancerzony samochód, kryjący szybkostrzelne działo. „Reńska fabryka wyrobów metalowych“ w Duesseldorfie skonstruowała armatkę automobilową bez pancerza; z jednej i drugiej broni można strzelać podczas ruchu samochodu.

Narówni zupełnie współzawodniczą oba państwa pod względem udziału armii powietrznej w każdorazowych wielkich ćwiczeniach wojskowych, ćwiczenia lotników w rekonesansach i przewożeniu pośpiesznem wiadomości i rozkazów, pod względem kartografii balonowej, fotografowania miast, fortów, terenów ćwiczeń, ruchów wojsk i t. p. I dzięki temu, flota powierzna staje się coraz istotniejszą i coraz ważniejszą częścią składową obu armii.

Tak przedstawia się w najogólniejszych zarysach bilans obu współzawodników. Dla Francyi jest on niewątpliwie niepomyślny, co tembardziej pozwala zrozumieć podniecenie i rozdraźnienie, wywołane wizytą „Zeppelina“ w Lunéville, wizytą, która mogła obudzić wizyę innych jakichś odwiedzin w przyszłości, mniej pokojowych, bez możliwości powstrzymania nieproszonego gościa.

Stanisław Sierosławski.

Z literatury.

„MEDUZA", poemat dramatyczny Cezarego Jellenty, Kraków. — Warszawa, Gebethner i Wolff.

Niepospolita w dziejach kultury świata postać mistrza włoskiego renesansu, genialnego Leonarda da Vinci, kusiła po wszystkie czasy poetów, muzyków i dramatopisarzy wszelkich narodowości, którzy w twórcy „Wieczerzy pańskiej" nie bez słuszności widzieli kwintesencyę cywilizacyjnego dorobku epoki i najwyższy wykwint geniuszu sztuki. A nie brak też było w życiu da Vinciego momentów, które usprawiedliwiały pożądanie poetów i trubadurów do ukoronowania tej świetnej postaci girlandą poetyckiego wieńca i uczynienia bohaterem legendy.

Doczekaliśmy się nareszcie, że i w naszem piśmiennictwie zjawia się utwór, niosący apoteozę geniuszu Leonarda da Vinci i czyniący go bohaterem nietylko fantazyi dramatycznej, ale także legendy, zespolonej z nią równolegle w dzieło muzyczne o wysokiem artystycznem napięciu. Cezary Jellenta, znany krytyk i esteta, uczynił Leonarda da Vinci bohaterem fantazyi dramatycznej wierszem p. t. „Meduza".

Tekst swego dramatycznego poematu poprzedził autor przedmową, w której wyjaśnia motywy i szkielet swej dramatycznej koncepcyi: „Niepowtórzona w historyi moc, rozległość i wszechstronność geniuszu twórczego i badawczego nie układałaby się jeszcze w baśń, nieledwie w myt, gdyby nie inne nadto elementy tej postaci. Pierwszy — to podobne do cudu sharmonizowanie zmysłu naukowego w najbardziej surowem i obowiązującem, a najwyższych regionów sięgającem znaczeniu słowa, oraz daru jasnowidzącego, odkrywczego i kombinatorskiego, wyprzedzającego ludzkość pomysłami maszyn latających i użycia siły pary, urządzeniami technicznemi i opanowaniem praw przyrody o czterysta lat — z najwyższem, do jakiego sztuka wznieść się mogła, napięciem i wyrafinowaniem daru kształtowania malarskiego, harmonii kolorystycznej, dokładności i subtelności, pełnej nieziemskich, a przecież prawdziwych półuśmiechów, uroków, niedomówień tajemniczych psychy, wdzięku najwyższej rasy, wytworności i muzycznie jakoby potrąconego związku z światem absolutnego ducha. Drugi—to tragiczna znikomość dzieł Leonarda nawet malarskich t. i. tych, których stosunkowo najwięcej uszło z życiem".


Cezary Jellenta.

Autor dramatu o da Vincim, podejmując jakikolwiek temat, przystępuje do dzieła z całym aparatem naukowego i myślowego przygotowania. Znajomość ducha epoki renesansu włoskiego, cechuje od początku do końca koncepcyę jego dramatu i daje temu utworowi szerokie tło, na którem plastycznie, barwnie i majestatycznie zarazem występuje postać Leonarda da Vinci.

Treść Meduzy osnutą jest na związanej ściśle z życiem wielkiego malarza legendzie o powtarzaniu jednego z zaginionych później dzieł jego — znanej z licznych biografij da Vinciego „Meduzy". W formie, w jakiej ją autor przedstawił, jest ona tworem bogatej fantazyi, kojarzącej umiejętnie prawdę historyczną z prawdą psychologiczną. Leonardo kocha cudnej piękności kobietę Gasparę, jednę z tych kuszących dam renesansowych, stworzonych na to, aby miłość nie była burzą walk w duszy geniusza. Jest ona źródłem jego natchnień, duchem, który nieść ma najlepsze pomysły. Mistrz pragnie uczynić zadość jej gorącemu życzeniu i maluje jej portret z głębokiem namaszczeniem i w tajemnicy przed uczniami.

Ale Gaspara to demon złego, to zalotna a pusta kobieta, którą do pracowni mistrza przywiodła nie miłość, ale próżność. Jako głośna piękność, pragnie, aby do wieńca jej sławy przybył jeszcze jeden liść: uwiecznienie jej przez wielkiego mistrza na płótnie.

Nie kocha ona Leonarda, pragnie tylko zadowolić próżność i wypróbować na nim siłę swego czaru. W chwili gdy da Vinci z bólem spostrzega, że podlegał złudzeniu, uświadamia go do reszty o zbrodniczym typie Gaspary jego modelka i pomocnica Demela, która, wiedziona zazdrością, podżega mistrza do zemsty i nawet prosi go, aby jej pozwolił skrycie zabić Gasparę. Leonardo, że sam także powziął postanowienie srogiego odwetu, chce go wykonać po swojemu w imię zasady: „prawdziwy władca, kiedy zabić musi, zabija sam" i samą tylko sztuką swoją. Zamienia tedy portret Gaspary na głowę Meduzy. A w tę głowę, w demoniczny wyraz jej twarzy zaklina tyle grozy, że rzut oka na dzieło wystarczy, aby tę kobietę zdruzgotać moralnie i zgotować jej śmierć fizyczną. Gdy więc Gaspara zjawia się ponownie i na żale jego odpowiada tem samem okrucieństwem, zaś na słowa bardziej szorstkie obraża go powtarzaniem plotek o jego związku z dyabłem, Leonardo ma już przygotowany cios zabójczy. Na chwilę udaje przejednanego i zrezygnowanego, ale nagle odsłania głowę Meduzy i tym widokiem zabija Gasparę.

Tego rodzaju tragiczne rozwiązanie konfliktu jest istotnie pomysłem niezwykle śmiałym i oryginalnym i zupełnie odpowiadającym poetyckiemu założeniu dramatu. Niedopuszczalne lub wprost wykluczone w każdej innej dramatycznej koncepcyi ze względu na zasadnicze nieprawdopodobieństwo sytuacyi, tutaj stało się dopuszczalnem. Opiera się ono nietylko na domniemaniu, że Leonardo znalazł w genialnym artyźmie dostateczne środki na to, żeby obrazowi udzielić aż mocy zabijania, ale także i na gwałtowności wrażenia nieoczekiwanego. Wsparło autora w tym pomyśle także podanie o Meduzie, która w pojęciu ludów klasycznych, a potem i w Boskiej komedyi Dantego, przedstawiona jest, jako groźne straszydło, mogące samem wejrzeniem zamieniać ludzi w głazy.

Malując taką Meduzę, da Vinci złożył dowód siły, będącej symbolem niezwykłej potęgi ducha, działającej piorunująco. Współczesne kroniki spisują, że istotnie wymalował on raz jakieś straszydło, tak niewypowiedzianie okropne, że ludzie na jego widok mdleli z przerażenia. Tak więc uśmierzające czarnoksięstwo pędzla Leonarda nie jest ani wymysłem, ani przesadą autora, lecz tylko odnowieniem wielkiego w swem wewnętrznem znaczeniu faktu.

Logicznem jest, że takie zwycięstwo nie napełnia bynajmniej artysty weselem, owszem pogrąża go w żałości i smutku i odnawia w nim uczucie samotności. Wyrok tego przeznaczenia wkłada autor w usta wieszczych duchów, które w akcie drugim głoszą: „I odtąd będziesz na świecie sam!"

Leonardo zbyt wielką i umiłowaną był postacią, aby tragedya jego miłości mogła być w odrodzeniu włoskiem sekretem. Więc też autor, trzymając się ducha epoki, czyni nieszczęśliwą miłość i tragiczny porachunek Leonarda z Gasparą czemś, o czem wiedział cały lud. Kara, spotykająca Gasparę, rodzi się nawet w sumieniu karzącego ludu niezależnie od obrażonej miłości własnej Leonarda. Z woli ludu tedy, żywo pamiętającego ofiary pięknej okrutnicy, zawisł nad nią wyrok, który się potem spełnia w taki sposób, że trudno orzec, kto więcej się do tego przyczynił, czy malarz przez dokonanie okropnej metarmarfozy obrazu, czy też zamaskowane postaci z ludu, które w stosownej chwili rzuciły na nią śmiertelny strach.

Dramat jest krótki i zwięzły i rozwija się szybko w szeregu scen barwnych i bogatych treścią.

Meduza, jako dzieło, przeznaczone dla teatru, czy to w formie dramatu poetyckiego, czy też opery, przedstawia szerokie i wdzięczne pole dla reżyserskiego popisu. Może być widowiskiem, jak mało które, efektownem, barwnem i porywającem ze względu na bogatą skalę nastrojów, od najbardziej wiosennych i pogodnych do ponurych i groźnych, i ze względu na tło renesansowe i stronę kostyumową.

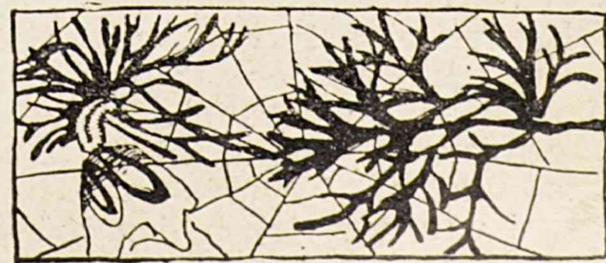
Dla zrozumienia tekstu fantazyi autor podał na końcu książki przypisy, objaśniające psychologiczne tło fantazyi, dające portret duchowy Leonarda da Vinci i objaśniające znaczenie symbolu Meduzy w podaniach i sztuce.

W. Pr.

Jerwicz. „WIRA HORECKA". wydawnictwo „Bluszczu". Warszawa, 1912.

Powieść, przedstawiająca w dość potoczystej formie dzieje jednego życia, życia bezcelowego panny osiemnastoletniej, wydanej za mąż bez miłości za przeciętnego salonowca, pana Karola, która całe życie pragnie i tęskni, chociaż sama wyraźnie nie wie, do kogo i do czego. Miłość do malarza, Jerzego, który maluje jej portret... przerwana śmiercią córeczki... potem suchoty bohaterki... no, i ostatecznie, odbiera sobie życie wystrzałem z malutkiego (oczywiście), pięknego i błyszczącego rewolweru, wyjętego z małej szkatułki z kości słoniowej ze złotym zamkiem... Do końca pisze pamiętnik, w którym tak ostatecznie, dość trafnie, określa swoję duszę: „Moja dusza, to był tylko balonik... Napełniałam go wonią egzotycznych, dzikich marzeń, sypałam weń garściami spostrzeżenia życiowe, co były, jak dym... I widzisz, ojcze, ukłuła go mała szpileczka i pękł... Teraz leży zeschła, czerwona skorupka... Że piszę: czerwona — wybacz... może była zielona lub niebieska..."

Powieść ta jest poniekąd dokumentem bezcelowości, zarówno w stosunku do życia, jak i do literatury. Nie daje bowiem nawet przeczuć celu, które obowiązują rzetelną sztukę. Powieść ta została odznaczona na konkursie „Bluszczu". *i.*




Poseł Wł. L. Jaworski.


Prezes Koła Polsk. dr. Leo i eksc. dr. Głąbiński.


Dr. K. Lewicki, *wódz ukraińców.*


Poseł Stapiński.

Bankructwo reformy wyborczej.

Jest to doniosły i znamienny fakt w politycznem życiu polskiem — ten upadek projektu reformy sejmu galicyjskiego, o którą rusini walczyli tak długo, namiętnie i bez przebierania środków, a którą rząd wiedeński uważał za tak konieczną.

Dwie perspektywy ta reforma otwierała: demokratyzacyę szerszą społeczeństwa polskiego i regulacyę stosunku dwóch społeczeństw słowiańskich, na jednej żyjących ziemi. Z tych względów reforma popieraną była przez rusinów, przez demokratów historycznych i przez ludowców.

Popierał ją jeszcze zgóry, w sposób potężny i wytrwały, namiestnik Bobrzyński, któremu ministrowie nakazywali, wobec naprężonej sytuacyi politycznej świata, doprowadzić do pokoju między dwoma waśniącemi się żywiołami galicyjskiemi — za wszelką cenę.

Konserwatyści krakowscy szli do reformy niechętnie, — i nie dziw, że odstąpili ją od chwili, gdy żadna stąd na nich nie spadała odpowiedzialność, szybko, lekko i niezawodnie z radością w duszy. Stając za nią, spełniali oni to, co uważali za obowiązek ciężki. Ani rozszerzenie siły rusińskiej, ani dopuszczenie do decydowania o sprawach kraju warstw szerszych, niewyrobionych, będących stałym żerem agitatorów za reformą, w ich oczach nie mogło przemawiać. Wzgląd na spokój, którego potrzebuje teraz tak bardzo Austrya, a którego domaga się tak natarczywie rząd wiedeński, grał w ich decyzyach rolę, bezsprzecznie, znaczną.

Konserwatyści podolscy, autonomiści, u których ten ostatni wzgląd mniej zaważył, wystąpili ostro przeciwko reformie. Dla nich była to reforma fatalna. Niemniej zdecydowanymi wrogami jej byli narodowi


Namiestnik dr. M. Bobrzyński przed Sejmem.

demokraci. Upatrywali oni w zmianie stosunków przedewszystkiem klęskę narodową. Dwa żywioły obce głównie na tej reformie zyskiwały, kosztem polskiej siły: żywioł, który się dotychczas w Galicyi polakom nie przeciwstawia, ale w Królestwie uczynił już to z całą bezwzględnością, — żydzi, i żywioł, który wydał i toczy z polakami walkę zażartą i bezwzględną, — rusini. Żeby te nowe ustępstwa, — rozumują narodowi demokraci, — choć doprowadziły do zgody albo spokoju! Ale wiemy wszyscy, że tak nie jest. Kompromis z rusinami jest niemożliwy i wkrótce po otrzymaniu koncesyi rozpoczną oni nowy bój, z widokami tem pewniejszego zwycięstwa o nowe koncesye. Nie przestaniemy słyszeć od nich wołania: „Za San!“ I jeden jest tylko sposób realny ich zadowolenia: wynieść się za San.

Ponieważ reforma prawa sejmowego musi być uchwaloną przy obecności trzech-czwartych posłów, nie miała ona widoków przejścia nawet i w tym razie, gdyby episkopat galicyjski nie wystąpił z historyczną swą enuncyacyą. Podolacy i narodowi demokraci zdekompletowaliby sejm.

Do tego nie było potrzeby uciekać się. Episkopat polski wypowiedział się, że reforma zaszkodziłaby interesom Kościoła. Nie był to wzgląd jedyny wystąpienia biskupów, ale wystarczył, aby wycofać konserwatystów z tego, czego nie mogli nie uważać za niebezpieczną awanturę.

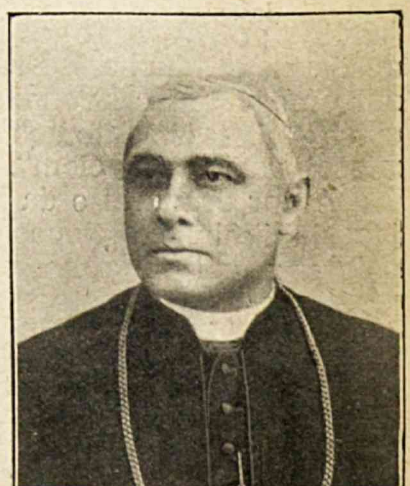
Od tego momentu reforma nie miała za sobą większości, wymaganej nawet przy pełnej i kompletnej izbie sejmowej.

Lwów. *Wasz.*

Gremialne oświadczenie się biskupów polskich w Galicyi przeciw pewnym postanowieniom projektu reformy wyborczej sejmowej rozbiło na razie ten projekt, bliski już urzeczywistnienia, i wytworzyło szereg doniosłych zmian w bieżącem życiu politycznem zaboru austryackiego.


Biskup przemyski, ks. Pelczar.


Ks. biskup krak., A. Sapieha.


Bisk. tarnowski, ks. L. Wałęga.



Most, łączący Podgórze z Krakowem.



Rynek w Podgórzu.

Kraków powiększony.

Stary Kraków ukończył całkowicie proces wchłaniania miejscowości sąsiednich, które, acz zrośnięte z nim organicznie, stanowiły przecież odrębne jednostki administracyjne. Przed paru laty zagarnął w swe posiadanie dwanaście gmin podmiejskich, otaczających go wieńcem, rządzonych przez dwunastu autonomicznych wójtów i przedstawiających dwanaście urozmaiconych obrazków małomiejskiego zacofania. Temu procesowi unifikacyi opierał się do ostatka jeden tylko jeszcze sąsiad, najmożniejszy i najbardziej ucywilizowany, bliźniacze miasto Podgórze, oddzielone od Krakowa Wisłą, ludne, zamożne, dobrze zagospodarowane, posiadające zaczątki wielkofabrycznego przemysłu. Po licznych szturmach, przypuszczanych z lewego brzegu Wisły, i długich układach o kapitulacyę, wywiesiło wreszcie i Podgórze białą flagę. Warunki poddania się uzyskało honorowe w całej pełni, przez szereg lat jeszcze zachowa rozliczne przywileje, jako wspomnienie utraconego samorządu, niemniej znikło z geograficznej karty i jest odtąd już tylko jedną z dzielnic „Wielkiego Krakowa". Żywot miasta Podgórza nie był zresztą ani długi, ani obfity w świetne tradycye. Unicestwione miasto zawdzięcza swe założenie dowcipowi cesarza Józefa II, który po pierwszym rozbiorze zapragnął wytworzyć podupadłemu polskiemu Krakowowi groźną konkurencyę i wzniósł ów gród, nadając mu zapomniane dziś całkowicie miano: „Josefsztad". Koncept Józefa II chybił cokolwiek. Ani „Josefsztad" (nazwa ta budzi dziś w Podgórzu uczucie, dalekie od pietyzmu dla pamięci jej twórcy) nie stał się placówką niemiecką, jak to leżało w intencyi dowcipnego cesarza, ani nie przeszkodził odrodzeniu się swego dostojnego sąsiada, który dawnego rywala wessał nakoniec w swój organizm. Przez przyłączenie Podgórza znalazło się na terytoryum gminy krakowskiej parę czcigodnych pamiątek. W obrębie Krakowa znajdują się dziś malownicze Krzemionki, związane z pamięcią polskiego Fausta, Twardowskiego, i starożytny, na wzgórza te rzucony kościołek św. Benedykta, gdzie ongi miała stać gontyna pogańska, i najstarszy pomnik krakowski: mogiła Krakusa. „Wielki Kraków" jest wreszcie nasycony. W ciągu ostatnich stu kilkunastu lat wchłonął w siebie trzy odrębne miasta: Kazimierz, Kleparz, Podgórze. Z Łobzowa, Prądnika, Zwierzyńca i całego wieńca innych podmiejskich wiosek porobił swe przedmieścia. Co było tylko dokoła niego, to wszystko do siebie „przyłączył". Liczy dziś około 190.000 ludności, a na rozległych swych przestrzeniach obecnych, obliczonych na długi rozwój, pomieścić mógłby — choćby milion. Kiedyś doczeka go niewątpliwie. Górniczy młotek, który stuka badawczo o bogate pokłady krakowskiego węgla, wróży starej stolicy Jagiellonów przyszłość, jeśli nie tak pełną chwały, jak dni minione, to jednak tętniącą życiem potężnem.

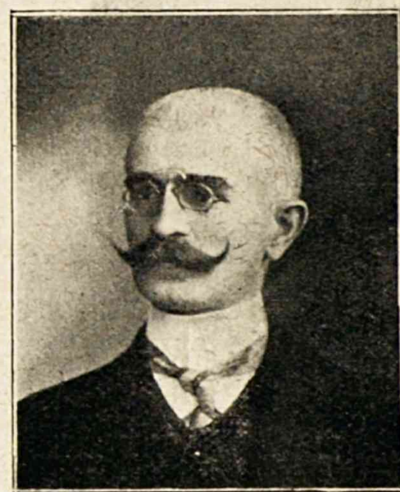
Clar.



Dr. Eugeniusz Barwiński.



Dr. Rudolf Kotula.



Dr. Wilhelm Rolny.

Biblioteka uniwersytetu lwowskiego.

W jednem z najpoważniejszych ognisk polskiego ruchu naukowego, w Bibliotece uniwersyteckiej we Lwowie, mieszczącej się od kilku lat w nowym, wspaniałym gmachu, zaszedł szereg zmian i posunięć, godnych zanotowania. Przed rokiem naczelny kierunek instytucyi objął wybitny i zasłużony pracownik na niwie naukowej, prof. dr. Bolesław Mańkowski. Obecnie dokonały się dalsze zmiany. Straciła Biblioteka znanego historyka, dr. Eugeniusza Barwińskiego, który, mianowany dyrektorem archiwum rządowego w namiestnictwie na miejsce przedwcześnie zmarłego ś. p. dr. Winiarza, przeszedł na stanowisko, bardziej odpowiadające kierunkowi jego pracy. Drugie miejsce po dyrektorze Biblioteki zajął dr. Wilhelm Rolny, zasłużony około wewnętrznego ładu w instytucyi, na inną wreszcie odpowiedzialną pozycyę wysunął się dr. Rudolf Kotula, znany ze swej równoczesnej działalności w Bibliotece Baworowskich we Lwowie. Z zastępu młodszych pracowników weszli na stanowiska wybitniejsze: docent Uniwersytetu dr. Jan Nowak, historyk dr. Bronisław Pawłowski i dr. Włodzimierz Zagórski. Skład i kierownictwo Biblioteki uniwersyteckiej lwowskiej zapewniają jej rozwój najpomyślniejszy.

20-lecie zrzeszenia dziennikarzy.

Towarzystwo dziennikarzy polskich we Lwowie, najstarsze tego rodzaju zrzeszenie na ziemiach naszych, a działalnością swą obejmujące zabór austryacki, obchodzi 20-lecie swego istnienia. Założone w r. 1893 przez grono młodych naówczas lwowskich dziennikarzy z programem wzajemnej pomocy, rozwinęło się, jak na trudne i chude stosunki poskie, znakomicie, zebrało pokaźne mienie (około 400.000 koron) i od



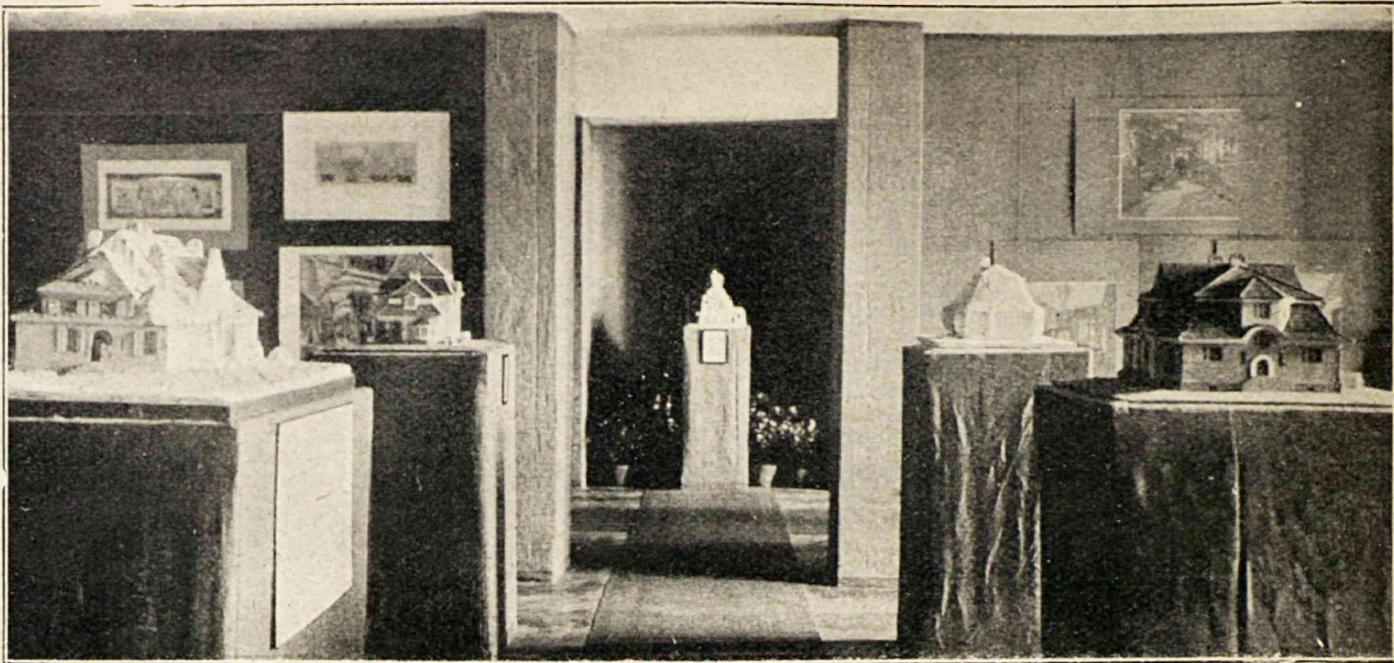
Adam Krechowiecki.

szeregu lat już spełnia humanitarne swe zadanie, wypłacając emerytury i pensye wdowie i sieroce. W dwudziestoletnim bilansie swym Towarzystwo może z dumą wskazać także na wpływ moralny, jaki wywarło w świecie dziennikarskim Galicyi, zacieśniając węzły koleżeństwa, zbliżając do siebie na neutralnym gruncie interesów humanitarnych i zawodowych jednostki, rozdzielone ideową przynależnością, łagodząc ostre dziennikarskie obyczaje, a tem samem dobroczynnie oddziaływując na życie publiczne, którego prasa jest jednym z głównych instrumentów. Umiało sobie Towarzystwo swem zawsze poważnem stanowiskiem nazewnątrz zapewnić sympatyę, mir i szacunek całego społeczeństwa. Te plusy 20-lecia są zasługą przedewszystkiem garści ludzi, którzy na kierowniczych stanowiskach oddawali instytucyi bezinteresownie przez szereg lat swe siły, czas, zapał i najlepszą wolę. Adam Krechowiecki, znakomity pisarz, a dzisiejszy prezes Towarzystwa, L. Zajączkowski, Kazimierz Skrzyński, K. Ostaszewski-Barański, Teofil Merunowicz, Wacław Masłowski, Aleksander Milski, Karol Kucharski, Edmund Kolbuszowski, to najzasłużeńsi z tego grona, którego inicyatywą, trudem i ofiarnością organizacya dziennikarzy polskich w Galicyi dźwignęła się i rozrosła. Przez długi czas było Towarzystwo lwowskie jedyna kooperacyą sił dziennikarskich w Polsce. Dziś takie same stowarzyszenia posiadają Warszawa i Poznań, a także i „czwarta dzielnica“ nasza, za Atlantykiem. Dziennikarze lwowscy dali pierwsi przykład reszcie kraju.

Lwów. *Jast.*

Lwów, dążący ku piękności.

Młode, sympatyczne stowarzyszenie lwowskie „Zespół“, zawiązane przed dwoma laty na wzór krakowskiej „Sztuki stosowanej“, pod hasłem krzewienia estetyki w życiu codziennem, wystąpiło znowu z niewielką, lecz bardzo zajmującą i szczęśliwie pomyślaną wystawką. W trzech salach pomieszczono okazy, dające się na trzy grupy podzielić. Pierwsza, to plakat artystyczny, okładka książki i okazy wywieszek sklepowych, dostrojonych do wymagań estetycznych; druga obejmuje projekty urządzenia wnętrz i tkaniny; trzecia: modele i plany domów w otoczeniu ogrodowem. Dużo tu rzeczy oryginalnych, ciekawych, doskonale pomyślanych i wykonanych, a Lwów, który trochę po parweniuszowsku lubuje się w bogatej ozdobności, ma na tej wystawie sposobność przekonać się, jak wybornie kojarzą się z sobą prostota i smak wytworny. Stowarzyszenie „Zespół“, któremu przewodniczy znany pisarz-estetyk, Maryan Olszewski, zasłużyło się dobrze odmładzającej się kulturze artystycznej Lwowa. Jeden z krytyków, W. Dąbrowski, nazwał wystawę trafnie „ciosem, wymierzonym w serce nudy“, płynącej z banalności. Lecz ciosy te powinny padać gęściej, aby efekt ich dał się zauważyć także poza salami przygodnych wystaw. Lwów powinien użyczyć stowarzyszeniu „Zespół“



Wystawa Stowarzyszenia „Zespół“ we Lwowie.

jaknajwydatniejszej opieki, powinien wesprzeć je materyalnie w jego dalszem, dobroczynnem działaniu wychowawczem i umożliwić mu większą intensywność tego działania, powinien, przedewszystkiem, nauczyć się szanować tych swoich nielicznych ludzi, którzy celowo i umiejętnie dążą do nasycenia szarzyzny jego codziennego życia światłem piękna.

Lwów. *S.*

Pożar miasteczka w Galicyi.

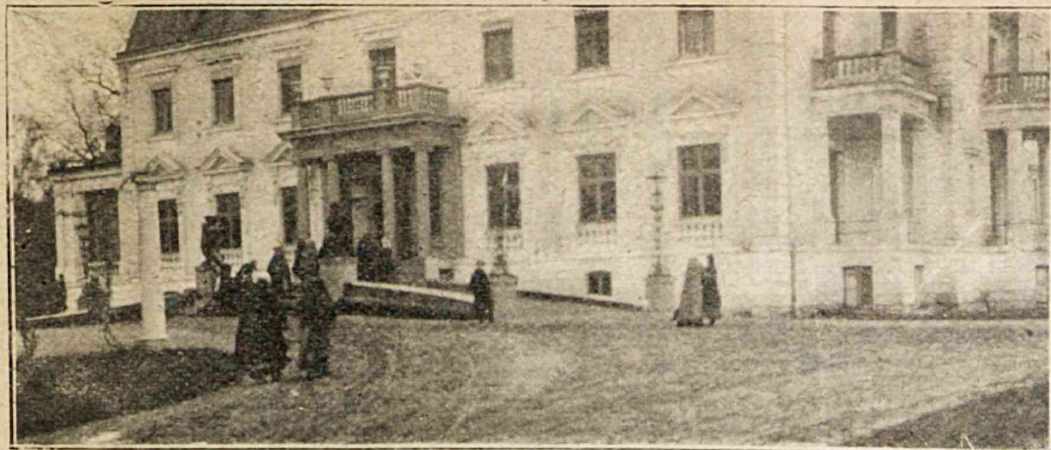


Kamionka Strumiłowa w Galicyi po pożarze.

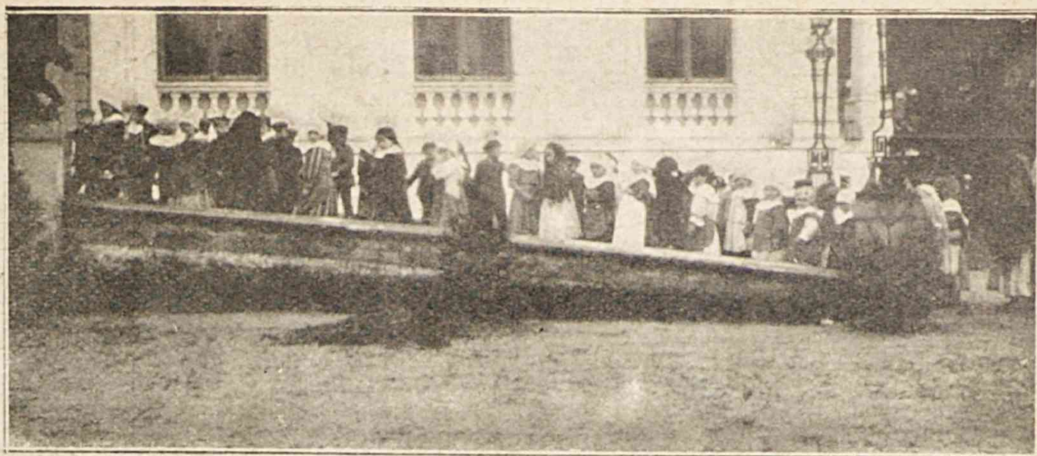
Prawa polityczne kobiet w Galicyi.



Deputacya kobiet opuszcza gmach Sejmu we Lwowie, po wyrażeniu swych żądań politycznych u marszałka kraju.



Pałac w Teresinie.



Zdjęcia dla „Świata" Maryana Fuksa.

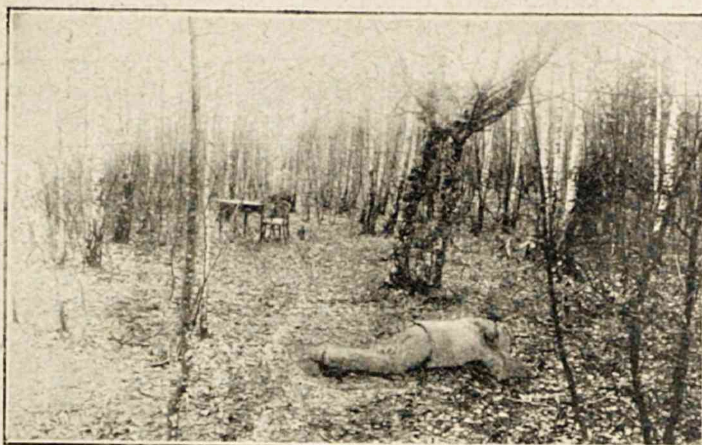
Ochronka dla dzieci w Teresinie.

Morderstwo w Teresinie.

Romanse kryminalne są tylko marnem naśladownictwem rzeczywistości, która umie otoczyć nieraz czyny zbrodnicze nieprzeniknioną gęstwiną tajemnicy. Oto już dni dziesięć upłynęło od morderstwa księcia Władysława Lubeckiego w parku teresińskim, otaczającym jego podwarszawską rezydencyę, a żaden promień światła nie oświetlił jeszcze tego czynu, całkowicie niezrozumiałego. Książę Władysław pochodził z arystokratycznej rodziny, która dała Polsce najtrzeźwiejszego ongi z mężów stanu, ministra skarbu za Odnowionego Królestwa. Zajmował się sportem, kochał się w automobilizmie i był prezesem Warszawskiego Towarzystwa Samochodowego. Rodzinne dobra jego leżały w Grodzieńskiem. Przed laty kilku kupił od p. Epsteina piękny Teresin, ozdobiony pałacem, będącym dziełem zbyt krótko mieszkającego śród nas znakomitego artysty francuskiego, Arreufa.

W parku rozległym, w pewnej odległości od tego pałacu, znaleziono w dniu 21 kwietnia ciało właściciela. Dokonane oględziny zwłok wykazały rany postrzałowe w piersi i rany cięte w czaszkę. Lekarze wywnioskowali, że książę zginął od kul brauningowych, ale morderca nie był widocznie pewien swojego dzieła; na leżącego już na ziemi rzucił się z brauningiem i ostrym kantem magazynu zadawał mu w głowę ciosy liczne i zapalczywe. Zmarły nie został ograbionym. Zbrodni dokonano najwidoczniej z namiętności jakiejś, bez materyanych kalkulacyi.

W tym czasie księżna Władysławowa, z domu hrabianka Zamoyska, wraz z synem, Janem, bawiła w Paryżu. W pałacu teresińskim dotrzymywał księciu towarzystwa ordynat baron Bisping, sportowiec, jak i książę, człowiek z tego samego świata, tych samych upodobań, w jednym wieku i w dodatku spowinowacony z gospodarzem. I on ma też za żonę hrabiankę Zamoyską, siostrę stryjeczną księżny Lubeckiej. Baron Bisping opuszczał właśnie Teresin, aby wrócić na rodzinną Litwę. Wyjechali razem. Ale na drodze księciu zaszli drogę dwaj ludzie, ubrani z waszecia, których wiozła bryczka, w w parę kuców zaprzężona. Książę przystanął, rozpoczął rozmowę, słuchał jakichś długich i nudnych wywodów, odpowiadał na nie, wdał się w jakieś spory.



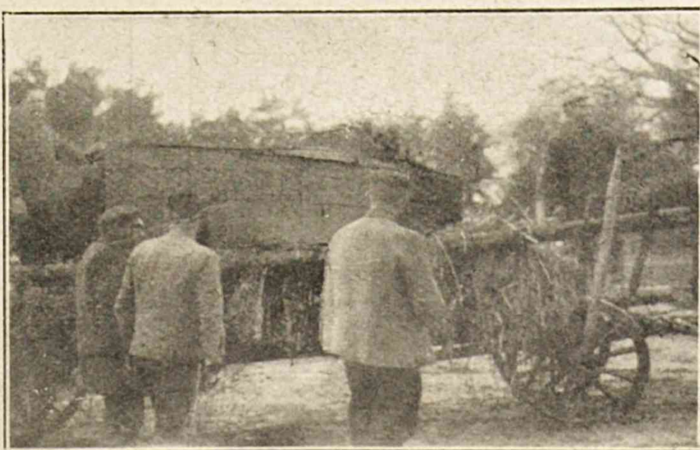
Miejsce, gdzie znaleziono zwłoki ś.p. ks. W. Druckiego-Lubeckiego. Miejsce to obecnie już ogrodzono; stanie tu w przyszłości pomnik.



Ordynat baron Bisping



Dziewczęta z Teresina, które słyszały strzały i wołanie o pomoc.



Przywiezienie skrzyni z trumną dla zwłok ś.p. ks. Druckiego-Lubeckiego.

Gościa to znudziło.

— Pójdę na stacyę sam...

Książę pewno zaproponował mu konie.

— Przepadam za piechurstwem...

Rozstali się.

Ordynat Bisping podążył do stacyi. Było już zapóźno. Pociąg odszedł. Co robić na nudnej stacyi? Piechur z zamiłowania, człowiek ekspansywny z temperamentu, puścił się w kierunku najbliższej stacyi po plancie. Dróżnik sprosił go na ścieżkę uboczną. Tak przybył p. Bisping do Błonia, odległego o wiorst dwanaście. Tu wsiadł do najpierwszego pociągu i wrócił do Warszawy, skąd niezwłocznie wyjechał na Litwę.

Sprowadzono go z niej telegramami alarmującemi zaraz nazajutrz.

Oto i wszystko, co wiadomem jest pozytywnego o tej tajemniczej zbrodni.

Przez dni kilka śledztwo i opinia krążyły wokoło nazwiska p. Bispinga, spodziewając się stąd światła informacyi. P. Bisping nic jednak nie wie o tem, co się stało po jego odejściu. Śledztwo energicznie poszukuje owych dwóch rozmówców, ubranych „z waszecia", i owej pary kuców. To pewno jedyna nitka do kłębka.

Reszta jest, jak dotychczas, bałamuctwem.

Ale która sprawa kryminalna obeszła się bez bałamuctwa?! I ileż razy bałamuctwo po to tylko stanęło do sprawy karnej, aby zatrzeć ślady, pomylić ścieżki i ułatwić mordercy wymknięcie się z sieci?!

Bałamuctwo chwilowe: podobno dziewczyny, pracujące w polu poza parkiem, słyszały krzyki, wołające o pomoc.

— A czemużeście nie leciały na pomoc?!

— Leciałyśmy...

— To czemużeście nie doleciały?

— Bośmy się bały kogo spotkać...

Bohaterskie teresianki...

Bałamuctwo dłuższe: dnia zbrodni na stacyi Teresin wykupiono jeden tylko bilet drugiej klasy. Wy-

Z pogrzebu ś. p. ks. Druckiego-Lubeckiego.


Młody ks. Drucki-Lubecki, przybyły na pogrzeb swego ojca.


Ks. Woroniecki i ks. St. Lubomirska na pogrzebie ś.p. księcia Druckiego-Lubeckiego.

kupił go nieznajomy mężczyzna, bardzo zmieszany, gdy pokazał się na stacyi, i usiłujący nie dać poznać swej twarzy.

Może to — on?!

Czas jakiś Warszawę pasyonowała tajemnica tego dziwnego nieznajomego. Aż ktoś genialniejszy spostrzegł, że, skoro bar. Bisping nie zdążył na pociąg do Teresina, opuściwszy księcia przed zbrodnią, tembardziej na tenże pociąg nie mógł zdążyć zbrodniarz.

Ergo... zbrodniarza w tej chwili nie widać na horyzoncie przypuszczeń. *D.*

Z teatru hiszpańskiego.

W pierwszym teatrze hiszpańskim, w „Teatro espanol" w Madrycie, wystawiono świeżo sztukę, napisaną w Warszawie przez żonę prof. Wincentego Lutosławskiego, panią Zofię Casanova, p. t. „La Madeja", czyli „Omotani". Powodzenie było olbrzymie, teatr był zapełniony przez najwybitniejsze osobistości Madrytu; znakomitej poetce winszowano tryumfu na nowem polu twórczości.


Zofia Casanova.

Twórczość Zofii Casanova niezwykłą ma historyę. W 25 roku życia zdobywszy już poetycką sławę, która, jak sen z bajki, przyszła opromieniać jej smutne dzieciństwo, opuszcza stolicę, świetną naówczas niezmiernie, dzięki rozkwitowi sztuki i dzięki zamiłowaniu króla Alfonsa XII do poezyi—i, wyszedłszy za mąż za polaka, zamieszkuje z kolei w Kazaniu, Moskwie, Londynie, Krakowie i w majątku rodzinnym męża, gdzie poznawała lud polski i żywo interesowała się jego losem. W ciągu tych lat 25-ciu jeździła często do ojczyzny swej, ale podróże te, krótkie i zazwyczaj w lecie odbywane, o ile dużo dawały jej sercu, o tyle dla jej twórczości były minimalnym łącznikiem z rodzimą sztuką i nowem pokoleniem talentów.

Przez cały czas ten wydała tylko jeden mały tom poezyi i powieść, osnutą na tle stosunków rosyjskich, p. t. „Doktór Wolski". I oto po 25-ciu latach zjeżdża na kilkoletni pobyt do Madrytu. Oddaje się całą duszą literackiej twórczości, która tryska, po dłuższej przerwie kilkunastu lat — tak bogata, pełna i piękna, jak nigdy przedtem.

„Madeja", owoc tej nowej twórczości odrodzonej, wystawiony obecnie w Madrycie, znaczy właściwie: „Motek". Jest to komedya obyczajowa, w której autorka przedstawia szereg scen z życia plaży wielkoświatowej i uwydatnia, w jak silnych więzach i złożonych splotach utrzymuje ludzi ich strona uczuciowa. Lekki dyalog, przypominający czasem Oskara Wilde'a, cięty dowcip i wytworna ironia — przyczem śliczny, jędrny język składają się na zalety tego niepowszedniego utworu.

Dodać należy, że znakomita poetka hiszpańska zasilała kilkakrotnie i nasze pismo swemi cennemi utworami.

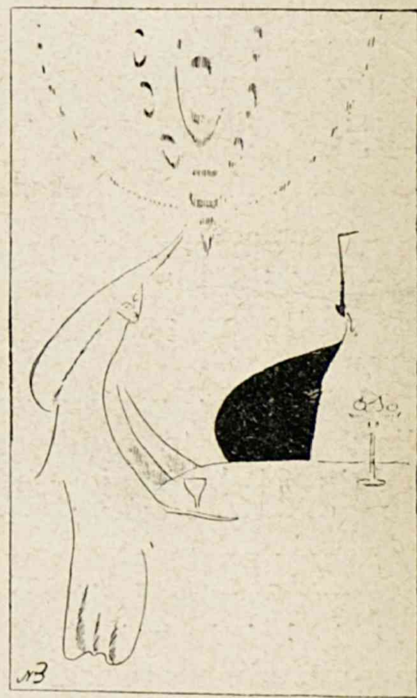
Madryt. *m.*

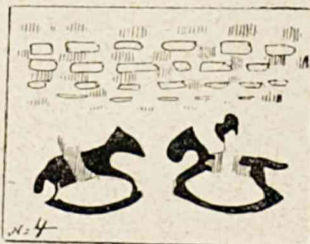
Wystawa „Młodej" sztuki w karykaturze.

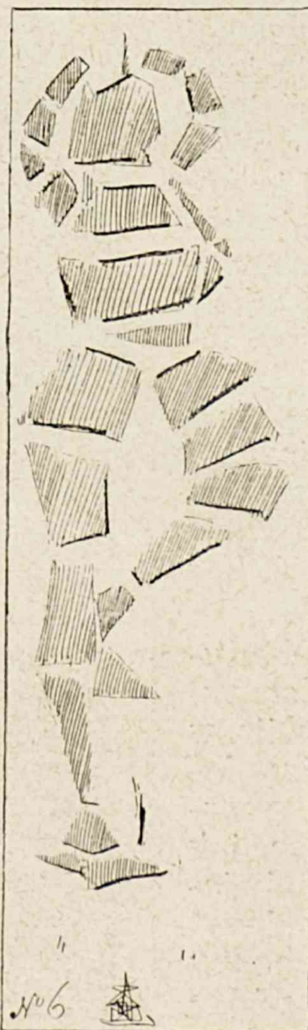
Rys. Z. Nirnstein.





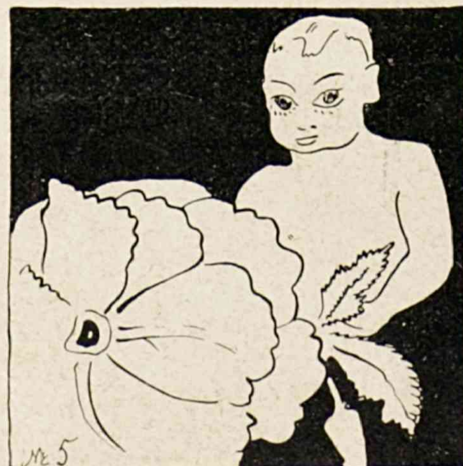


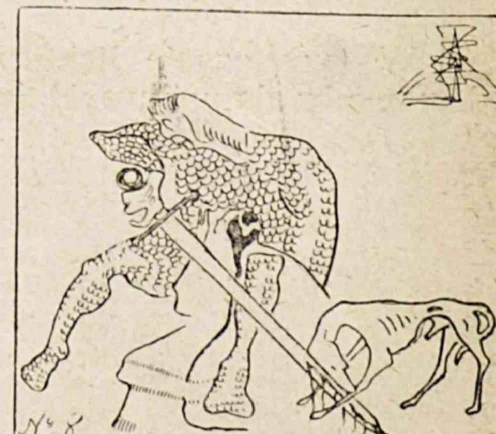












№ 1. Ach, jakie ciężkie czasy! .. № 2. Wiatr. № 3. Kompozycya niezaczęta. № 4. Z teki 4 letniego Kazia. № 5. Straszna zemsta małego Stasia. № 6. Kankan w wiekach średnich. № 7. *A* i *B*. bakterye „najmłodszych" niedomagań. № 8. Leszek XVII przepiłowywa swą córkę na dwie nierówne połowy.



WOJCIECH KORFANTY podczas rozpraw w Sejmie pruskim rzucił frazes: *„w Prusach małych zbrodniarzy ciągną na szubienicę, a wielkim zbrodniarzom stawiają pomniki“.*



KAROL LIEBKNECHT, odsłonił w parlamencie niemieckim machinacye firmy niemieckiej Kruppa, wykradającej wojskowe tajemnice... niemieckie.



KAROL HAGENBECK, twórca słynnego zwierzyńca w Stellingen, jeden z najlepszych znawców zwierząt i autor książki o zwierzętach, zmarł w Hamburgu w 60-ym roku życia.

Jubileusz J. Kotarbińskiego.

W dniu 9-ym b. m. odbędzie się jubileusz zasłużonego pisarza, estetyka, krytyka i eseisty, a równocześnie długoletniego a wybornego kierownika scen polskich, w Krakowie i Warszawie, nakoniec wybitnego artysty dramatycznego, Józefa Kotarbińskiego. Dyrekcya teatrów rządowych, pragnąc uczcić rzetelne i niespożyte zasługi jego na stanowisku kierownika literackiego i artystycznego, urządza na jego cześć i benefis jubileusz, wystawiając nieznany u nas dramat W. Sardou, p. t. „Ojczyzna“. Najlepsze siły dramat. naszego teatru biorą udział w sztuce, która niewątpliwie w dniu uroczystym wypełni teatr Wielki po same brzegi, co będzie żywym wyrazem uznania dla talentu jubilata.

Maryla Walrom-Borkowic,

kompozytorka i pierwszorzędna śpiewaczka polska, po ukończonych studyach w „Scola Cantorum“ w Paryżu i akademii św. Cecylii w Rzymie, przebywa obecnie w Warszawie. P. Walrom-Borkowic w bogatym dorobku artystycznym posiada wiele prac, wydanych przez firmy zagraniczne. Dotychczas nakładem E. Fromont w Paryżu wyszły następujące prace fortepianowe: „Incatagione“, „Ghiribizzo“, „L'ultimo canto“, w Lipsku zaś u D. Rahtera „Novelette № 3“, etiuda „Les eaux enjoleuses“ oraz skrzypcowe: „Romance et intermède bohème“ i „Ricordi“. W najbliższym czasie ukażą się dwie fantazye fortepianowe № 1 i № 3, „Reliefs musicaux-études“ i cykl pieśni do słów Jerzego Guranowskiego p. t. „Ave Vita“. Pani Walrom-Borkowic da się słyszeć poraz pierwszy w Warszawie w sezonie jesiennym, dając koncert kompozytorski w wytwornej sali Hermana i Grossmana, a jednocześnie odtworzy cały szereg wybitnych kreacyi w operze.



M. Walrom-Borkowic.

Najważniejsze wypadki minionego tygodnia.

SPRAWY POLITYCZNE.

Najważniejszy fakt tygodnia: Skodar poddał się czarnogórcom. Turcy nie mieli żadnej racyi bronić miasta, obecnie cudzego.

Ambaras dyplomacyi europejskiej jest ogromny i komiczny: nie wie ona, co począć z tym fantem, który Czarnogórze teraz trzyma w ręku...

Austrya podaje trzy projekty doprowadzenia Czarnogórza do opamiętania: działanie wspólne mocarstw, — mandat, dany Austryi i Włochom,—mandat Austryi samej.

Sazonow oświadczył, że Rosya dotrzyma słowa i nie będzie popierała nawet zwycięskiego króla Mikołaja.

Francya oświadcza, że w sprawie Skodaru iść będzie w tym samym kierunku zawsze, co i Rosya.

Rozbierany jest projekt wynagrodzenia Czarnogórza, za odstąpienie przyszłej Albanii zdobytego Skodaru.

Serbia twierdzi, że wrazie akcyi Austryi przeciwko Czarnogórzu zsolidaryzuje się z niem.

Z NAD NEWY.

Synod zabronił osobom nieprawosławnym trzymania do chrztu dzieci prawosławnych.

Głośne manifestacye odbyły się w Petersburgu z racyi wzięcia Skodaru przez czarnogórców.

LITERATURA I SZTUKA.

Zatwierdzoną została konwencya literacka między Rosyą a Niemcami.

Kierownikiem dramatu w warszawskich teatrach rządowych będzie od sezonu jesiennego p. Solski.

BEZROBOCIA.

Powszechne bezrobocie w Belgii nie powiodło się. Większość tylko robotników doń przystąpiła. Szło o rozszerzenie praw politycznych. Rząd obiecał tę sprawę rozpatrzeć w komisyi parlamentu.

Bezrobocie na Śląsku jest czysto ekonomiczne. Strajkuje do 100.000 robotników, głównie polskich.

NASZE SPRAWY.

Dymisya Bobrzyńskiego będzie przyjęta. Jako następcę wymieniają Bilińskiego, Korytowskiego, Ad. Tarnowskiego.

W Wiedniu odbywają się narady między przywódcami partyi, biskupami a prezesem gabinetu. Pogłoska o interwencyi cesarza nie sprawdza się.

Stapiński ogłasza wielką wojnę: żądać teraz będzie głosowania czteroprzymiotnikowego, zniesienia rad powiatowych i obszarów dworskich, mających swą autonomię gminną.

Demokraci historyczni żądają od konserwatystów krakowskich stanowczego oznajmienia, ażali będą oni przyczyniali się do demokratyzacyi Galicyi.

Rusini oznajmiają, iż nie zgodzą się na żadne już ustępstwa, nawet na powiększenie liczby członków wydziału krajowego do 8.

Rada Narodowa galicyjska prawdopodobnie nie zostanie wybrana po ukonstytuowaniu się przyszłego sejmu.

Parlament niemiecki odrzucił w 3 czytaniu wniosek rządu o dodatkach kresowych.

RÓŻNE.

P. Gabryelowi Dauchot zabroniono wygłoszenia odczytu w Warszawie.

Skonfiskowano „Słowo“, „Gazetę Nową“ i „Gazetę Kujawską“.

Prof. Łokot, dawniej trudowik, teraz nacyonalista, woła o przeniesienie Instytutu agronomicznego z Puław do głębi Rosyi.

Nowe wydawnictwa.

W szeregu nowych wydawnictw, poświęconych sprawie rozwoju handlu polskiego, korzystnie wyróżnia się „Skorowidz fabryk, zakładów przemysłowych oraz firm handlowych i technicznych polskich“, wydany staraniem inż. Stan. Sierkowskiego.



Komitet Kasy Przemysłowców w Pułtusku. *(Siedzą):* Bol Bukowski, J. Henrykowski *(kontroler)*, St. Śniegocki *(prezes)*, Leop. Gałczyński, Romuald Gogolewski *(zarz. rachunk.)*, J. Bonisławski *(kasyer)*, M. Lewandowski. *(Stoją):* Z. Żmijewski, Z. Pietrusiński, Marceli Uszacki, Br. Wętkowski. *Fot. B. Schmidt w Pułtusku.*

Kasa przemysłowców w Pułtusku.

Zawiązek i początek Kasy był więcej, niż skromny. Przed 25 laty z dwóch przedstawień amatorskich zebrano 300 rb., które stały się funduszem zakładowym. Dziś obrót roczny Kasy Przemysłowców zbliża się do miliona rb. Kasa stała się prawdziwem dobrodziejstwem, nietylko dla obywateli miejskich, ale i całej okolicy, przyczyniwszy się w znacznej części do uwolnienia od wyzysku lichwiarzy. Pobierając 6% i rozszerzając coraz bardziej swą działalność, zapewniła sobie Kasa trwałą i solidną egzystencyę, mogąc nawet, w razach wyjątkowych, przychodzić z pomocą na cele publiczne. Stało się to, dzięki pracy i zabiegliwości Zarządów, którym przewodniczyli kolejno pp.: Górawski, Zalewski, Szacherski, obecnie zaś p. L. Gałczyński. Rezultat tem godniejszy uznania, że ruch przemysłowo - handlowy w mieście samem jest nieznaczny, komunikacya bardzo zła, a nawet dawny handel zbożowy upadł, od czasu wybudowania kolei mławskiej.

Pułtusk. *F.*

Z pasterza—multimilionerem.



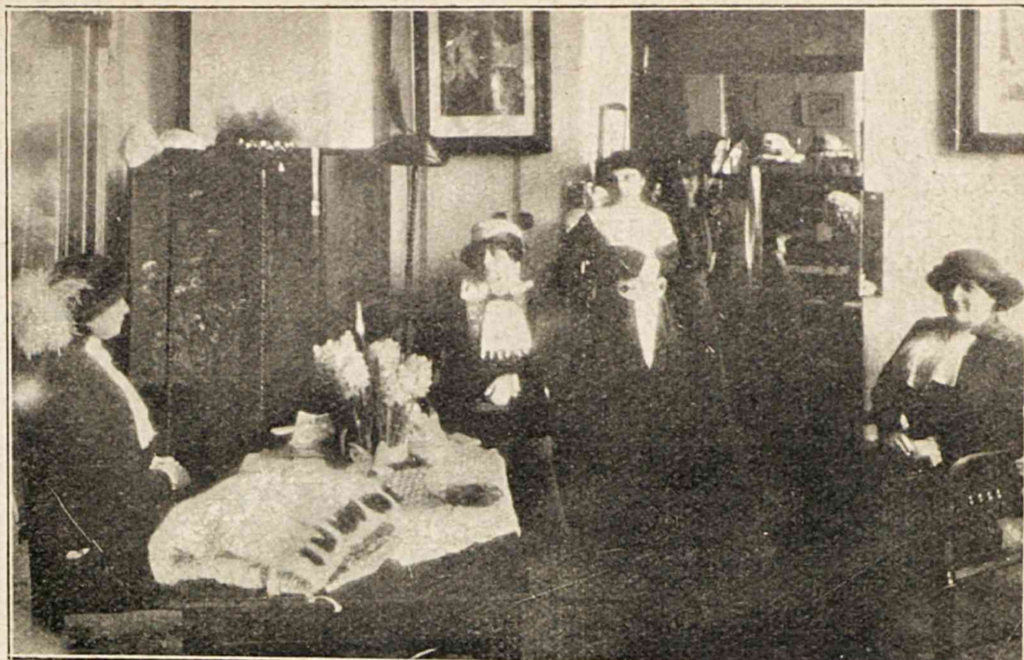
Nieprawdopodobna historya o „bogatym wujaszku" sprawdza się jednak niekiedy. W ostatnich dniach żyjącym, rzeczywistym jej bohaterem stał się ubogi pasterz owiec z Sernhac nad jeziorem Garda. Prolog historyi dosyć codzienny: Bogaty anglik uwiódł młodą wieśniaczkę i zabrał do ojczystego kraju. Rodzina milionera odepchnęła ją i wysłała z powrotem. W Marsylii przyszedł na świat Marius Bonnaud, syn Pierrotte'y i anglika; wychował się w przytułku dobroczynnym, potem został pasterzem. Matka powróciła do Anglii i połączyła się z kochankiem, zapominając o dziecku. Marius, liczący obecnie lat 44, poszukiwał jednak swych rodziców. Zamiast nich, odnalazł dziadka, który pozostawił mu w spuściźnie 37 milionów franków. Mimo to milionowy dziedzic nie zaniechał jeszcze ulubionego pasterstwa.

Echo zamachu na króla Alfonsa XIII.



Anarchista Sancho Allegre dokonał w Madrycie zamachu na króla hiszpańskiego Alfonsa XIII-go. Król ocalał przed strzałami rewolwerowemi. Sprawcę ujęto.

Do numeru bieżącego „Świata" dołączamy prospekt wydawnictwa „Encyklopedya humoru i satyry polskiej", wydawanej nakładem „Muchy" pod red. Ant. Orłowskiego.

Wnętrze salonów „Modes Aux élégantes" przy placu Saskim № 5.

Artyzm w kapeluszach damskich.

Wszechwładną dotychczas panią modę opanował obecnie przepotężny a nader mile przez wszystkich, w estetyce rozmiłowanych ludzi — artyzm.

Władcze piętno swoje kładzie on na każdym szczególe toalety damskiej, starając się stworzyć z niej całość, miłą dla oka.

Zniknęło już dotychczasowe prawie, niewolnicze nieomal trzymanie się przykazań władców mody, dyktujących rozkazy swe z Paryża czy z Wiednia...

Powstał bunt między paniami, i na ich rozkazy, odrzekły nieomal że jednogłośnie:

— I my chcemy mieć swój głos w sprawach strojów naszych; i my chcemy same decydować, w czem nam jest do twarzy, a w czem nie...

I wynikiem tego buntu przedstawicielek płci pięknej jest obecna moda.

Prawda, że nie jest ona zbyt korzystną dla modniarek, przywykłych do szablonu nadsyłanych z zagranicy modeli, zwłaszcza o ile która z nich nie rozporządza zbytnim indywidualizmem.

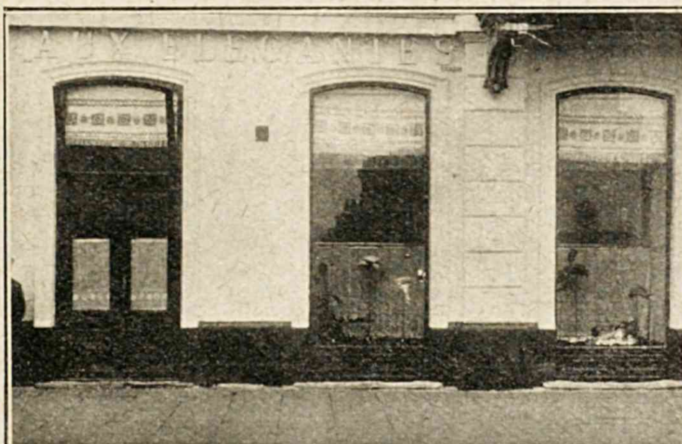
A indywidualizm ten jest najwięcej potrzebnym przy tworzeniu kapeluszy damskich, tych małych arcydzieł naszych modniarek.

Obecne kreacye kapeluszy damskich wymagają nietylko znacznej indywidualności, ale i artyzmu.

Te, napozór drobne cacka, ze słomki, piór, kwiatów i wstążek złożone, wieńczące piękne główki naszych pań, nie mogą trzymać się raz utartego szablonu. Każdy z nich musi być inny, każdy z nich musi podnosić, niejako podkreślać urodę właścicielki swojej...

A tego szablon nie dokona...

Do tego potrzebnym jest artyzm... i to artyzm wrodzony, w wysokim stopniu rozwinięty przez odpowiednie studya i prace.



Widok zewnątrzny magazynu.

Toż niewłaściwe zawiązanie kokardy, nieodpowiednie przypięcie pióra lub kwiatów, może w zupełności zmienić charakter danego kapelusza.

Myśli te nasunęły mi się przy zwiedzaniu nowootworzonych salonów firmy „Modes aux élegantes", przy placu Saskim Nr. 5.

Nie jest to nowa firma. Zna ją dobrze cała Warszawa, a przynajmniej ta jej piękna połowa, która lubi być ubraną jaknajpiękniej i najodpowiedniej. Tylko że dotychczas salony te mieściły się w mieszkaniu prywatnem, na drugiem piętrze domu przy ul. Królewskiej Nr. 6.

Dla wygody coraz rosnących zastępów klientek, właścicieka firmy przeniosła je na parter, do sklepu frontowego.

Już z ulicy zwracają uwagę przechodniów nadzwyczaj artystycznie urządzone wystawy. Smak z estetyką poszły w parze i stworzyły przepiękną całość.

W parze z tem idzie i wnętrze salonów. To samo już najlepiej przemawia na dobro stwarzanych przez firmę kreacyi.

Olbrzymi wybór oryginalnych modeli paryskich, jeszcze większa ilość kopii, a niezależnie od tego, wszystkie przybrania, tak, że w przeciągu krótkiego czasu stworzony być może nowy kapelusz-arcydzieło, najlepiej dobrany do typu urody danej klientki.

Jeszcze jeden dział wprowadziła właścicielka salonów „Modes aux élegantes".

Są nim kapelusiki dziecinne, wykonane nader subtelnie i artystycznie, tworzące przepiękne tło dla buziaków naszych milusińskich.

Dział ten zapełnia wielki brak w dziale ubiorów dziecinnych, ważny zwłaszcza dla tych rodziców, którzy, dbając o estetyczny wygląd swych pociech, pragną uniknąć nużącego, a często niesmacznego szablonu. *kr.*



Mestre i Blatgé, Paryż.

Wszelkie akcesorya do automobilizmu.

Tylko 10 lat egzystencyi firmy Mestre i Blatgé w Paryżu.

Śród ludzi, żądnych uśmiechu fortuny, rozpowszechniło się przekonanie, że dla zdobycia losu należy szukać szczęścia, jeżeli już nie w kopalniach złota w Kalifornii lub na Syberyi, to przynajmniej pożegnać z pogardą Świat Stary i skierować się ku nowemu, gdzie zdobywali mienie nietylko magnaci-amerykanie, ale nawet nasi „Wujaszkowie z Ameryki".

Podobny sposób myślenia charakteryzuje zwykle ludzi, obdarzonych pewnym mistycyzmem, na zasadzie którego doznają oni wrażenia, że najlepiej jest tam, gdzie ich nie ma. Ludzie ci, obdarzeni zwykle dość bujną wyobraźnią, nie posiadają pozatem innych właściwości, potrzebnych do zwabienia Fortuny. Śród bajecznych opowiadań o tem, w jaki sposób ten lub ów znany milioner z grosza robił sto, daje się niejednokrotnie słyszeć ze strony któregoś z bardziej zawistnych słuchaczów westchnienie, z wykrzyknikiem: „Czasy były inne!" „Czasy" jednakże zawsze są jednakie dla ludzi danej chwili, jeżeli zaś „czasy" te wydają się nam innemi, to dlatego, że, należąc już do przeszłości, wyobrażają dla nas tę krainę, gdzie nas nie ma obecnie i gdzie przy pomocy wyobraźni tak łatwo jest wytworzyć sobie warunki według własnego widzimisię. Geniusz tem właśnie różni się od innych śmiertelników, że nietylko widzi dokładnie te warunki, jakie w danej chwili wyzyskać można, ale posiada on, oprócz tego, inne cechy, potrzebne do zrealizowania zamierzonego projektu.

W r. 1902, podczas gdy sport jazdy na kołowcach dochodził we Francyi do maksimum rozwoju, przemysł zaś samochodowy rozpoczynał dopiero rozwijać się nadobre, młody buchalter, p. Emil Mestre, zrozumiał potrzebę zjednoczenia w jednych rękach handlu wszystkich części zamiennych i akcesoryi, aby dać przez to możność zadosyćuczynienia wszelkim wymaganiom kupujących i uprzystępnić ceny. Zbyt tego rodzaju artykułów w dziedzinie przemysłu samochodowego zwiększał się każdodziennie, a w cyklistyce stanowił już poważną gałęź przemysłu, eksploatowaną, zresztą, w sposób mniej lub więcej dorywczy przez najrozmaitszych kupców; toteż p. Mestre porozumiał się niebawem z przyjacielem swoim, p. Blatgé, i dwaj ci przedsiębiorczy ludzie otworzyli handel w małym lokalu, przy ulicy Brunel w Paryżu, z kapitałem zakład. 40,000 fr.

Myśl podobnego przedsiębiorstwa była już sama przez się szczęśliwą, przy niezwykłej zaś pracowitości i zapobiegliwości obydwóch spólników, już po 5 latach egzystencyi, czyli w r. 1907, mały z początku interes przekształcił się niebawem na Tow. Akc., z kapitałem 2,000,000 fr.; w ciągu dwu lat następnych kapitał ten został jeszcze powiększony o 500,000 fr.; w roku zaś 1912 wynosił on już bardzo poważną sumę: 4,000,000 franków.

Zapewne nasuwa się tu pytanie, o ile obrót roczny odpowiadał takiemu wzrostowi kapitału. Liczby następujące dadzą najlepszą odpowiedź na to pytanie:

W r. 1903 obrót wynosił fr. 500,000, w r. 1906 fr. 2,638,000, w r. 1907 fr. 4,221,000, w r. 1910 fr. 9,438,000, w r. 1912 fr. 13,200,000.

Wszystkie inne warunki, towarzyszące rozwojowi tego niezwykłego przedsiębiorstwa, znajdują się w podobnym stosunku. Przypatrzmy się np., jak wzrasta personel:

W r. 1903 firma Mestre i Blatgé liczy zaledwie 10 osób, w r. 1905 liczba pracujących wzrasta do 70; w r. 1910 personel firmy składa się już z 252 osób, w tej liczbie około 50 kobiet, podczas gdy w chwili bież. 75 kobiet pracuje obok przeszło 300 męż., wszyscy wybrani z pomiędzy najbardziej pracowitych i zdolnych.

Ciekawe jest porównanie, jakie zrobić można np. pomiędzy wieżą Ejfla w Paryżu i katalogami firmy Mestre i Blatgé, które stanowią specyalne wydawnictwo techniczne. Katalogi jednego wydawnictwa, ułożone jedne na drugie, stanowiły by kolumnę, wysokości 800 metrów, czyli stos nieomal ze 3 razy wyższy od wieży Ejfla. Ułożone na płask, jeden za drugim, stanowiły by długość 7 kilometrów.

Dla wydrukowania takiej ilości katalogów potrzeba 75,000 klg. papieru, podzielonego na 22,000,000 stron.

Pomimo, że firma Mestre i Blatgé posiada już reprezentantów we wszystkich krajach, wypadło jej dla tem lepszego zaspokojenia coraz bardziej wzrastającej klienteli otworzyć filie w następujących miastach: w Lille, w Bordeaux, w Algierze, w Londynie, w Berlinie, w Madrycie, w Brukseli, w Buenos - Ayres, w Rio de Janeiro, w Budapeszcie, a w ostatnich czasach w Moskwie i w Warszawie, ul. Nowosienna, róg Jasnej Nr. 8, tel 224,48. Dyrektorem oddziału warszawskiego jest p. René Schaab, od lat kilkunastu pracujący w Warszawie i powszechnie uznany za wybitnego znawcę automobilizmu.

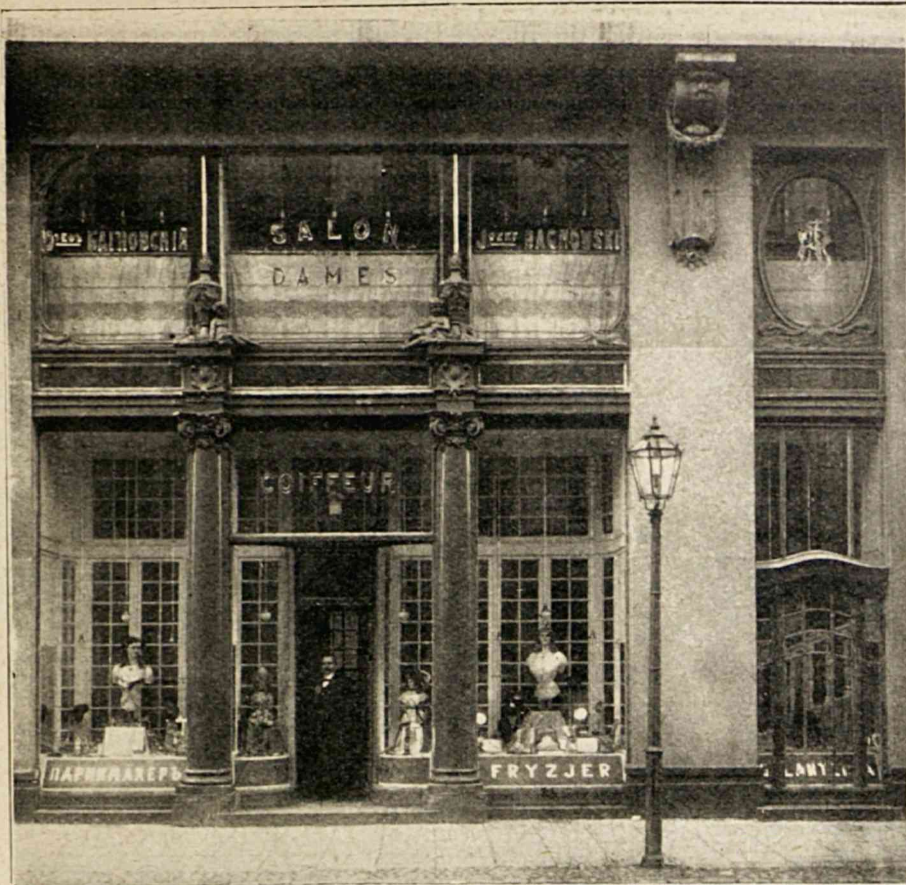
Wskutek niedostatecznego pomieszczenia przy ulicy Brunel, pod nr. 5, 7 i 18, firma Mestre i Blatgé zmuszona była wybudować ogromny gmach własny w środkowej części tej znakomitej arteryi paryskiej „Avenué de la Grande Armée", stanowiącej jedną z pamiątek po Wielkiej Armii Napoleońskiej, a która od czasu rozwoju przemysłu samochodowego stała się punktem, na którym zebrali się wszyscy prawie konstruktorzy większych francuskich firm samochodowych. Gmach, w którym obecnie mieści się firma Mestre i Blatgé, zajmuje powierzchnię 8,000 kw. metrów. W r. 1902 ta sama firma zajmowała lokal zaledwie na 210 kw. metrach.

Oto więc, co zdziałać można w ciągu tylko lat 10-u nawet w przeżytym już i ze wszech miar wyzyskanym Paryżu, a więc bez potrzeby emigrowania za ocean; żeby osiągnąć podobne rezultaty, prawda, że są potrzebne pewne warunki zewnętrzne, ale, oprócz tego, nie wystarcza nawet być przedsiębiorczym, bo trzeba jeszcze być tak pracowitym, jak są panowie Mestre i Blatgé.

K.



Główny gmach firmy Mestré i Blatgé w Paryżu.



Widok zewnętrzny zakładu fryzyerskiego J. Bagnowskiego.



Poczekalnia.

„Salon de Beauté" i zakład fryzyerski J. Bagnowskiego,

Wilcza № 35, róg Marszałkowskiej. Telefony: № 29-39 i 159-02.

„Musi rozwijać się i postępować wszystko to, w co człowiek kładzie pracę i dobrą inicyatywę".

Jednym z dowodów, stwierdzających tę maksymę, jest zakład fryzyerski p. Józefa Bagnowskiego, który, z niewielkiego przed laty 20-stu sklepu, rozrasta się stale, z roku na rok, w duże przedsiębiorstwo, aż nareszcie w chwili obecnej, w domu W-go Fruzińskiego, przy Wilczej 35, róg Marszałkowskiej, zajmując dwa piętra, przemienia się w *„Salon de beauté"*, w najlepszem znaczeniu tego słowa.

Salon, jakiego dotąd nie było w Warszawie.

Parter — to sklep, ze wszystkiemi pomocniczemi w dziedzinie fryzyerstwa i kosmetyki przyborami.

Ogromny, widny, oszklony ze wszystkich stron, jak latarka, pełen zwierciadeł, kryształów, z ujmującą i elegancką obsługą klientów—sklep ma obok obszerną salę, przeznaczoną do strzyżenia i golenia dla panów.

Jest on jednak tylko słabą zapowiedzią tego, czem ucieszy się oko zwiedzających zakład p. Bagnowskiego, jeśli po schodach, wysłanych dywanem, a bezpośrednio ze sklepu wiodących, zajdzie na pierwsze piętro.

Dobry smak, wygoda i doskonałe przystosowanie wymagań *hygieny* do zabiegów około starannej powierzchowności składają się na ten śliczny apartament, który p. J. Bagnowski oddaje w chwili obecnej, świeżo wykończony, do użytku swej licznej klienteli.

Duży wspólny salon do czesania, poczekalnia, gabinety (na życzenie, dla pań oddzielne), parowe kąpiele, masażystki, przyrządy do mycia głowy, eleganckie aksamitne podpórki dla rączek, które poddają się tsaraniom manicure'y, wygodne fotele dla stosowania pedicure — epilacya i analiza włosów, usuwanie piegów, wągrów, brodawek, czerwoności nosa — oto bogaty program działania, którego terenem będzie odtąd *„Salon de beauté"* p. J. Bagnowskiego.

Dodać należy, że wszystko to odbywa się na pełnem smaku tle w urządzeniu, w którym kolor jasny ścian i eleganckich przepierzeń łączy się dyskretnie z bladoróżowym tonem portyer i lambrekinów, na które pada złamane światło przez koronkowe brise-bises'y, zasłaniające zazdrośnie do połowy kryształowe szyby. Obfite kwitnących kwiatów szeregi, wplecione w żardiniery, łączące się z rysunkiem całości, dopełniają urok tego salonu, przynoszącego chlubne świadectwo i temu, kto go zamawiał, i wykonawcy.



J. Bagnowski

Myliłby się jednak, ktoby sądził, że wystarcza zrobić wywiad z gospodarzem zakładu, aby objaśnić całokształt podjętej pracy.

P. J. Bagnowski, jak już zaznaczyliśmy, dąży z postępem, który, jak we wszystkiem, tak i w jego specyalności, idzie szybko naprzód, a nowemi wynalazkami dzielnie wspiera podjęte zabiegi.

Otóż, za największą zasługę uważać należy nietylko to, że p. Bagnowski ma doskonałych, znających swoją sztukę fryzyerów, nietylko, że do pomocy w pracy powołał osoby, zawodowo znające masaż i tajniki kosmetyki — ale nadewszystko to, że wprowadził nawet *lekarza-specyalistę*, ordynującego codzień w „Salonie" w osobnym gabinecie od godz. 4 do 6-ej po połud.

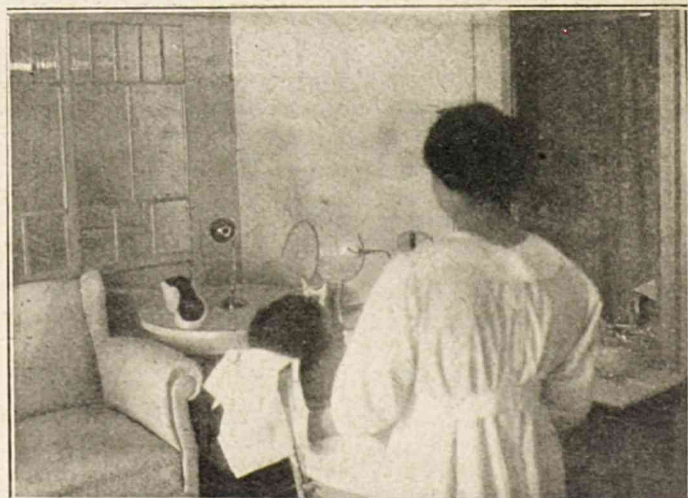
— Wszelkie zewnętrzne choroby skóry, przyczyny wypadania włosów są albo natury ogólnej, albo miejscowej. W pierwszym wypadku przyczyną może być niedokrewność, zła przemiana materyi, nadmierna praca umysłowa i t. p. W drugim choroba skóry i włosów, nieumiejętne obchodzenie się z włosami, brak czystości. Postępowanie, mające na celu zapobieganie np. wypadaniu włosów zależy od tego, co je wywołało. Sprawę tę można rozstrzygnąć tylko po dokładnem zbadaniu ustroju i skóry głowy — objaśnia nas łaskawie lekarz w „Salonie". A po tem wyjaśnieniu, już śmiało możesz bodaj zgolić głowę, jeśli to polecone, bo wiesz, że sąd oparty nie na powierzchownem tylko przypuszczeniu, lecz na sumiennej dyagnozie i analizie organizmu.

Małe laboratoryum podręczne jest pomocą dla lekarza, a zapewnieniem solidności sądu dla klienteli.

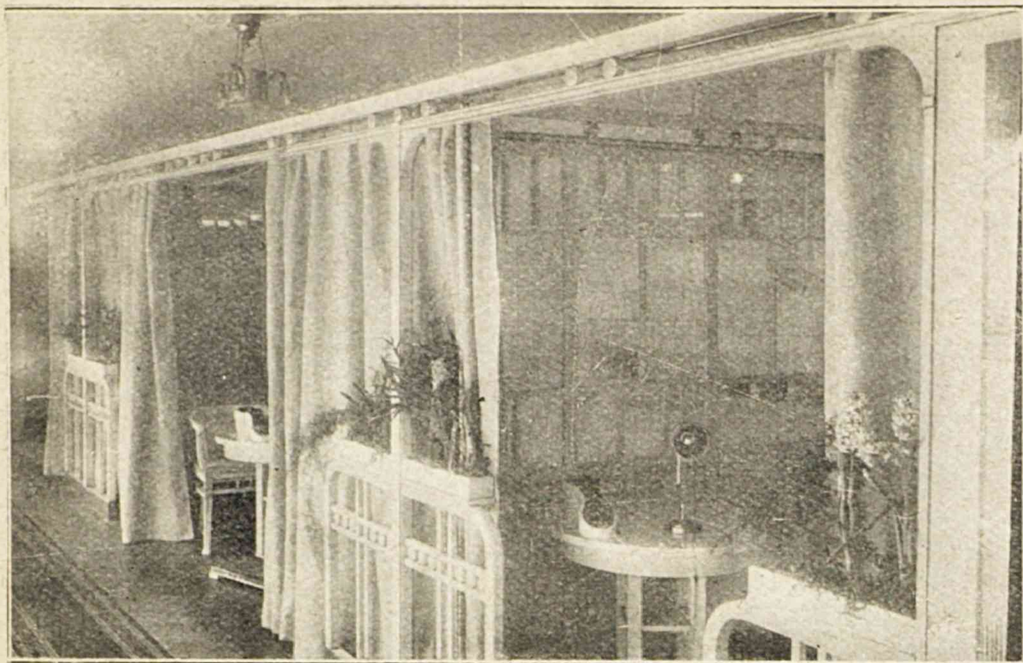
Dwie młode, nawiasem mówiąc, ładne, a przedewszystkiem *bardzo uprzejme* specyalistki do stosowania wszelkich środków, mających na celu utrzymanie czystości i podniesienie zewnętrznej urody, z których jedna naukę w tym zakresie czerpała w Paryżu — ubolewają razem z nami — przedewszystkiem nad małem zamiłowaniem *porządku* u nas.

— We Francyi niema kobiet starych, zawiędłych, pomarszczonych, źle uczesanych, słowem, zaniedbanych. Wszystkie mają dobrze utrzymaną cerę i włosy. Kąpiel i czystość całego organizmu jest taką samą niezbędną sprawą — jak potrzeba oddychania.

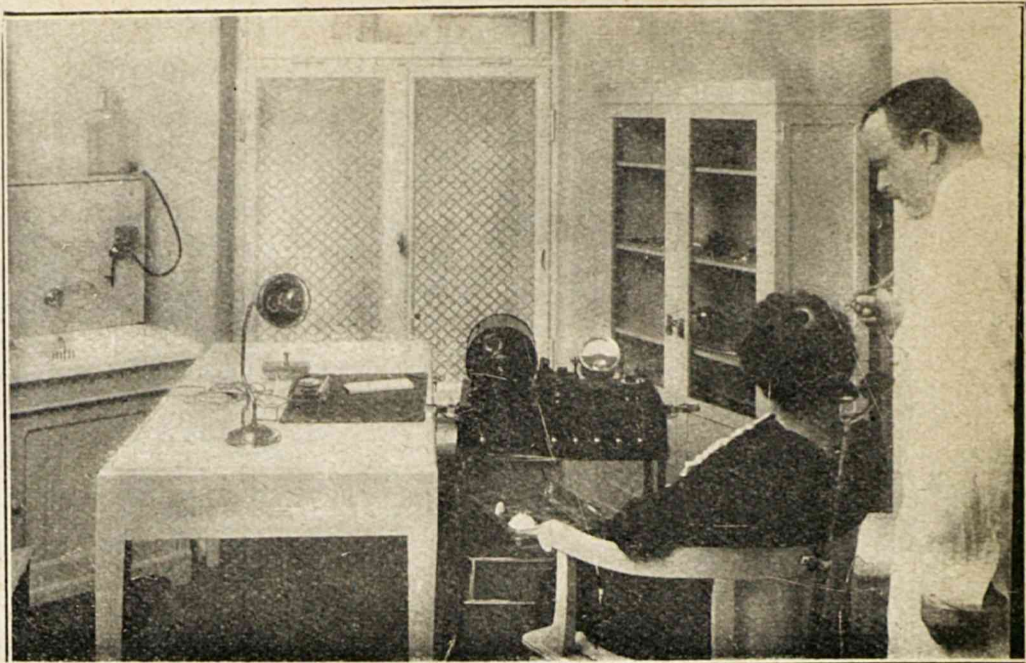
Staraniem naszem tu, w *Salonie* bę-



Gabinet kosmetyczny.



Salon de beauté.



Gabinet doktora.

dzie tak obsłużyć nasze klientki, aby, raz doświadczywszy błogosławionych skutków racyonalnego pielęgnowania ciała, stało się to ich przyzwyczajeniem i niezbędną potrzebą.

A słuchając tego, wierzyliśmy, że tak się stanie, bo uprzejme i zamiłowane w swym fachu specyalistki—w zakładzie p. Bagnowskiego — odrazu budzą zaufanie i wierzy się, że, o ile tego zajdzie potrzeba, z pod starannych ich rączek każda kobieta wyjdzie młodsza, a już napewno ładniejsza.

Dwa telefony: do *Fryzyerni 29-39* i do *Gabinetu Kosmetycznego* 151-02 zapewniają łatwe porozumienie się, o ile chodzi o zamówienie uczesania w domu lub wyznaczenie godziny w *„Salonie"*. Nasi mistrze tego fachu mają ustaloną opinię zręczności i smaku. Tak, że w Berlinie, a wiemy to z dobrego źródła, poszukiwani są *fryzyerzy-polacy* do czesania najwykwintniejszych dam. U nas stwierdza tę opinię zakład p. Bagnowskiego, w którym trzymają się stale zasad w czesaniu, aby nie naśladować niewolniczo mody, a dla każdej głowy *tworzyć modę nową* lub odpowiednio przystosowywać tę, która istnieje.

Z powodu uznania tych wszystkich zalet ruch w *„Salon de beauté"* panuje ogromny. Wśród potoków elektrycznego światła, w którem skąpane są wykwintne gabinety, kryształy zwierciadeł odbijają główki kształtne, których kunszt uczesania podziwiamy w teatrach i salach koncertowych.

W tych warunkach *„Salon de Beauté"* ma ustalone powodzenie, na które zasłużył w pełni.

Nowa hurtownia chrześciańska.



W dniu 19-ym kwietnia poświęcono nową hurtownie towarów galanteryjnych pod firmą F. Jędrzejewski i S-ka, przy ulicy Długiej.

Treść № 18 „Świata".